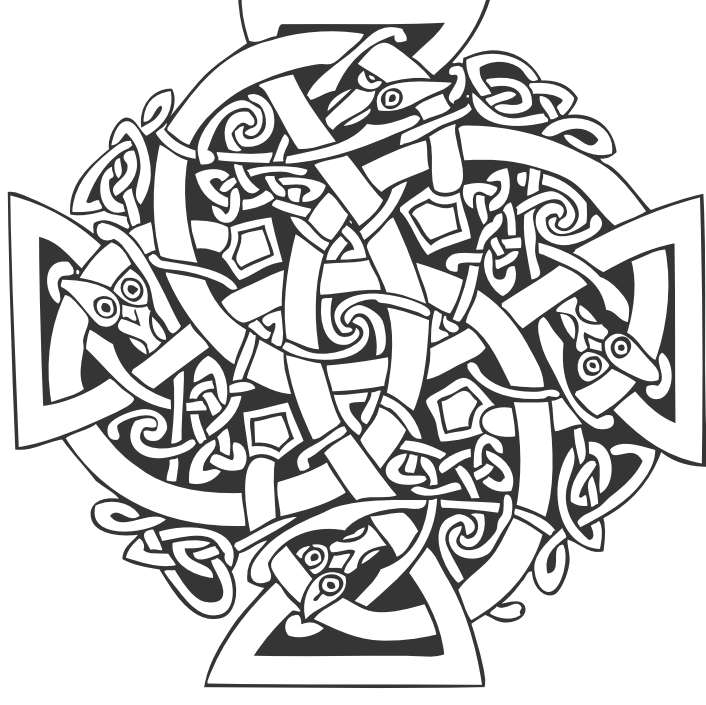

DESZCZ
—EARLY DRAFT—

THIS WORK IS LICENSED UNDER THE
CREATIVE COMMONS ATTRIBUTION-NonCommercial 4.0 International
License.

TO VIEW A COPY OF THIS LICENSE, VISIT
[HTTP://creativecommons.org/licenses/by-nc/4.0/](http://creativecommons.org/licenses/by-nc/4.0/).



WRITTEN BY MAREK KORZENIOWSKI

Prolog

W pewnym miejscu w pewnym świecie istniał pewien klif. Od czasu do czasu leniwie uderzany morskimi falami trwał w swoim dumnym bezruchu, całkowicie ignorując otaczającą go rzeczywistość. Gdyby jednak świat go zainteresował, to dowiedziałby się o pewnej młodej kobiecie stojącej na jego skraju. Ona, w przeciwieństwie do klifu, interesowała się światem. Choć ani klif, ani ona tego zauważyć nie mogli, srebrzysta poświata księżycą cudnie oświecała jej długie czarne włosy. Bosa, odziana w prostą szarą suknię, wpatrywała się w szalejącą na dole żywioł. Wzdychając, zamknęła oczy i pochyliła się, lecz o czym byłyaby ta historia, gdyby nie zdarzyło się coś nieoczekiwanego? Coś znacznie ciekawszego od młodej kobiety skaczącej nocą z klifu. Tak też w pogrążonej w mroku głowie rozbrzmiał cichy, ciepły głos. Chaotycznie rozproszone słowa ułożyły się w zdania i umysł, choć zdziwiony, posłusznie przełożył ich znaczenie.

— Poczekaj. Wysłuchaj mych słów. Nie skacz jeszcze. Wstrzymaj się – poszczególne sylaby rozbrzmiewały jak rozbłyśki światła, raniące przyzwyczajone do mroku oczy – chcę twoje ciało. Ty go już nie chcesz. Oddaj mi je. Co ci za różnica? Po co niszczyć takie dobre ciało.

Kobieta zamarła w bezruchu. Powoli wyprostowała się i wykonała krok do tyłu.
— Kim jesteś! – krzyknęła i choć jej głos został pochłonięty przez pustkę nocy, usłyszała odpowiedź.

— Co za różnica? – słowa wibrowały w jej głowie – jestem kimś, kto nigdy nie miał ciała. Chcę ciało. Ty masz ciało. Właśnie miałas zamiar je zniszczyć. Proszę cię, daj mi je.

— A co się stanie ze mną? – krzyknęła ponownie.

— Przystaniesz istnieć.

Kobieta obróciła się i spojrzała za siebie, wpatrując się w otaczającą ją pustkę. Jej rozgorączkowany umysł wychwycił krótki rozbłyśk światła. Odległa pochodnia dzielnie walczyła z mrokiem nocy.

— Zgadzasz się! – krzyknęła przerażona – Zgadzasz się, zgadzam się, zgadzam się!

Umarła wraz z umilknięciem ostatniej głoski. Nie była to specjalnie widowiskowa śmierć, jej ciało jedynie lekko drgnęło, gdy nowy właściciel niezdarnie przejmował kontrolę nad poszczególnymi mięśniami.

* * *

Gdyby klif interesował się światem, obserwowałby teraz, jak stojąca na nim już od dłuższego czasu kobieta z wielkim zainteresowaniem porusza różnymi częściami ciała. Widziałby też zbliżający się do niej łańcuszek pochodni. Zobaczyłby, jak trzej rośli mężczyźni łapią jej niczego nieświadome ręce. Gdyby klif miał słuchać, usłyszałby też słowa wypowiedziane przez jednego z tych mężczyzn.

— Chciałeś się zabić, lecz nie starczyło ci odwagi? Smutno tak zmarować spektakularną ucieczkę.

Klif usłyszałby też świst przecinającej powietrze drewnianej pałki oraz poczułby upadek bezwładnego ciała. Jednak klif był obojętny i pozostał obojętny, podczas gdy trzej mężczyźni odeszli, zabierając ze sobą pewną czarowność kobietę. Kobietę, która podobnie jak klif, była całkowicie nieświadoma sytuacji, w której się znalazła.

— Jeżeli w przeciągu trzech minut nie wstanę na nogi, to musisz mnie ponieść dalej. W prawo wzdłuż rzeki. Przy drewnianej ławie skreć w las.

Nie czekając na odpowiedź, umilkła, tłumiąc wszystkie chwilowo niepotrzebne myśli. Skupiła się na wywierającym nacisk na jej skórze powietrzu. W umyśle skryształizował się obraz setek kilometrów otaczający jej przestrzeni. Bez najmniejszej chwili wahania wybrała odpowiednio miejsca i wprowadziła w nich lekkie zmiany. Niewielkie, z pozoru losowe, połącze powietrza delikatnie obniżyły swoją temperaturę. Natura, choć opornie, leniwie ruszyła w niezauważanie innym kierunku.

Sulim nie słuchał dalszej części rozmowy. W przeciwieństwie do karczmarza szybko domyślił się, jaki był cel wizyty kupca. Po cichu opuścił swoje miejsce i wbiegł do pomieszczenia ze śpiącą Freją. Na szczęście nie przebrała się przed snem. Potrząsnął nią.

— Wstawaj – szepnął – znaleźli cię.

Kobieta spojrzała na niego sennym wzrokiem i wykrzywiła usta w grymasie niezrozumienia.

— Zaufaj mi, musimy natychmiast uciekać – kontynuował – teraz nie ma czasu, wythumaczę po drodze. Zbieraj się szybko. Konia i wszystko przy nim zostawiamy.

— Ale... ale co się... – spojrzała mu w oczy i po krótkiej chwili przytaknęła głową.

Powoli podniosła obolałe ciało z postania, stając na chwiejnych nogach. Sulim w tym czasie wypychał do sakwy swoje papiery i przybory do pisania. Spod luźnej deski podłogowej wyciągnął mieszek z pieniędzmi i wrzucił na wierzch. Sakwę zamknął i przynocował do niej lutnię. Podniósł jeszcze oparty o ścianę łuk i podał go Freji. Po chwili byli już na zewnątrz.

— Gdzie idziemy? – zapytała.

Dobre pytanie, nie zdążył się jeszcze nad tym zastanowić. W głowie przeanalizował parę możliwych tras i szybko wybrał jedną z nich. Wybór padł bardziej intuicyjnie niż racjonalnie.

— Prowadź do Ewalda. – powiedział i gdy ruszyli truchtem, zaczął wyjaśniać sytuację – Nasz ulubiony karczmarz na najwyraźniej poprosił kogoś spoza wioski, by się o nas popytał. Ten ktoś przed chwilą wrócił. Posłuchałem ich rozmowę. Wypytywał się o nas wyraźnie czymś zdenerwowany.

— To ciagle nic nie musi znaczyć – stwierdziła, krzywiąc się z bólu podczas stawiania szybkich kroków.

Zatrzymała się i obróciła głowę w stronę wjazdu do wioski.

— Wiem, że nie brzmi to przekonywająco, ale uwierz mi, musimy uciekać. Wystłali go, by dyskretnie sprawdził, czy ciągle tu jesteśmy.

Zignorowała jego słowa i wskazała palcem na jaśniejsze miejsce w lesie. Przeciwnie.

— Co to? – zapytał, wytężając wzrok.

— Pochodnie – odparła cicho.

Przez chwilę w milczeniu przyglądali się, jak pierwszy świetlisty punkt oddzielił się od lasu. Za nim wyszedł kolejny, a za nim kolejny i kolejny. Freja wzięła głęboki oddech i starając się nie zważać na ból, zaczęła biec.

— Coś ty im robiła, że chciało się im tu przyjeżdżać? – wydyszał Sulim, biegnąc za nią – Jest ich ponad dwudziestu, to przecież gruba przesada.

Zignorowała pytania. Deszcz przydałby się teraz deszcz. Zmyłby ich ślady. Nie zatrzymując się, spojrzała na niebo. Mogło się udać. Po przekroczeniu mostu stanęła w miejscu. Przez chwilę nie poruszała się, łapiąc oddech, po czym usiadła na ziemi, krzyżując nogi.

— Co robisz? – krzyknął Sulim – nie mamy na to czasu!

— Zamknij się! – odkrzyknęła, zamykając oczy.

Warunki nie były sprzyjające. Mięśnie domagały się niemożliwych ilości tlenu, umysł ciągle był ociążony po przerwanym śnie. Szalejąca po żyłach adrenalina też nie pomagała. Mimo wszystko musiała spróbować.

Rozdział I

Obudziła się w małej celi, na tyle niskiej, że nie mogła stanąć wyprostowana. Wykonane z litego kamienia pomieszczenie oświetlał wąski promień porannego słońca wpadający przez okienko, a raczej dziurę wybitą w murze. Otoczenie ją jednak mało obchodziło. Bardziej przejmował ją pulsujący ból głowy, przez który nie mogła na niczym skupić wzroku. Nie była jednak przestraszona ani smutna. Wręcz przeciwnie, była zachwycona. Nie zdążyła do końca zapoznać się ze świeżo zdobytym ciałem, a już przeżywała swoją pierwszą przygodę. Ból był jednak równie fascynujący co irytujący. Zaciśnęła zęby i podpierając się rękoma przeszła do pozycji siedzącej. Wycieńczone ciało powoli wstało i natychmiast poczuła, że była głodna. Nie tak głodna, jak człowiek co nie zjadł kolacji, tylko tak głodna, jak osoba co spędziła parę tygodni w celi, żyjąc o kromce chleba dziennie.

— No cóż – stwierdziła – przygoda to przygoda.

Uważnie wsłuchiwała się w dźwięk swojego głosu. Nie był zły, trochę za sztywny, ale na swój sposób łagodny i melodyjny. Obróciła się i spojrzała na znajdujące się za nią masywne drzwi. Zbudowane z sześciu równych kawałków metalu, wydawały się nie do pokonania. Po ich prawej stronie stała mała drewniana miska z pojedynczą kromką czerstwego chleba oraz niechlujnie wykonany kubek, prawdopodobnie z wodą. Z najwyższym zadziwieniem obserwowała, jak jej ciało samo zaczyna sunąć w stronę pożywienia. Podczas niemal niekontrolowanego posilania się ujrzała stojące po przeciwnej stronie metalowe wiadro. Jego przeznaczenia nawet nie chciała się domyślać. Aktualnie było na szczęście puste.

— Przgoda to przygoda – powtórzyła.

Tym razem jej głos nie zabrzmiał już jednak tak ciepło i melodyjnie. Starając się kontrolować negatywne myśli, doczołgała się do okna. Przecież widok skąpanej słońcem okolicy musiał jej dodać otuchy. Wyglądęła na zewnątrz i zniechęciła. Była wysoko, naprawdę wysoko, na tyle wysoko by mały człowiek na dole nie słyszał jej krzyków. Na środku obszernego placu znajdował się niemały stos drewna ze wbitym pośrodku palcem. Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie, gdy pojęła jego znaczenie. Po raz pierwszy przeszło jej przez myśl, że poprzednia właścicielka ciała niekoniecznie chciała skoczyć z powodu nieszcześliwej miłości, czy też innej błahiej przyczyny. Przypomniała sobie paniczne słowa zgody nieżywej już kobiety. Słowa wypowiedziane tym ciepłym i melodyjnym głosem. Odsunęła się od okienka i usiadła pod nim, chowając głowę w kolana, przyjmując przy tym pozę godną więźnia bez przyszłości. Nie była jednak smutna ani przerażona. Można powiedzieć, że na

swoj sposób była szczęśliwa. Przecież bycie więzionym w ciasnej celi było znacznie ciekawsze od życia przypadkowej więśniaczki czy też arystokratki. Nawet jeżeli jej przysgoła miała się niedługo skończyć to była na swój sposób unikalna. Uśmiechnęła się lekko.

— Przysgoła to przysgoła – wyszeptala.

* * *

— Pieprzyć taką przysgołę! – krzyknęła co sił swoim ciepłym i melodyjnym głosem przez małe okienko będące raczej dzinurą niż okienkiem.

* * *

W gabinecie królewskiego inkwizytora Mauricio panował lekki półmrok. Wpadające do środka strużki światła odbijały się od bogato zdobionych obrazów przedstawiających jego przodków dzielnie stawiających czoła potężnym demonom. Wszystkie ściany, łącznie z sufitem, pomalowane były na czarno. Jak mawiał Mauricio, kolor ten nadawał pomieszczeniu powagi. Lepki spokój zakłóciło natarczywe pukanie.

— Młodszy sierzant Szprota melduje, że przyszedł złożyć raport! – wyłchniony przez depbowe drzwi zaczął leniwe odbijać się od ponurnych ścian¹.

— Wejści! – krzyknął Mauricio.

Dato się słyszeć głośnie przeknięcie śliny i drzwi stanęły otworem. Młodszy sierzant zacisnął zęby i wmaszerował do środka. Zsalutował, strając się nie patrzeć przy tym w sepie oczy inkwizytora. Nienawidził tego pomieszczenia. Mauricio przestał bawić się swym kręconym wąsem i spojrzał pytająco na stojącego przed nim strażnika.

— Ja... ja, wasza Ekscelencjo, przyszedłem złożyć meldunek w sprawie wieźni! – wyjąkał Szprota.

Wielki inkwizytor wyprostował się na swoim skórzanym krześle, po czym położył łokcie na stole i oparł na rękach głowę.

— Ona... ona staje się coraz bardziej agresywna – kontynuował Szprota – minął już tydzień od próby ucieczki i jej zachowanie zmienia się z dnia na dzień na coraz gorsze. Wykrzykuje straszliwe rzeczy, a ostatnio zaczęła nawet pluć! – wyduślił z siebie na bezdechu.

— Jak na pomiot diabelski przystało, prawda młodszy sierzancie? – spokojnie odpowiedział Mauricio – lecz rozumiem, że stało się coś nadzwyczajnego, jako że przyszedłeś aż tutaj, nękać moją osobę, nieprawdaż?

— Tak jest wasza Ekscelencjo! Dzisiaj rano zaatakowała wiadertkiem strażnika przynoszącego jej prowiant i... – słuchający raportu Mauricio, choć bardzo stała się tego nie ukazywać, lekko się uśmiechnął – opróżniła na niego jego zawartość. Kapitan tak się wściekł, że powiedział wiele zbędnych słów i wysłał mnie do waszej Ekscelencji.

Wielki inkwizytor wziął parę głębokich oddechów. Nie spieszyło mu się specjalnie z udzieleniem odpowiedzi. Uwielbiał wpatrywać się w drżącego z przerażenia Szprote, lecz żadna przyjemność nie mogła trwać wiecznie i w końcu przemówił.

— Jeszcze dzisiaj pójde do niej. Przeprowadzę z nią rozmowę. Ostatniej Szansy i gdy ta się nie powiedzie, jutro rozpalimy ogień – widząc lekkie zdziwienie na

¹ po czym odbił się od sufitu i spadł na nich niezłym deszcz

— To, czemu od razu się nie zgodziłaś, tylko w takim stanie wracałaś po nocy do karczny?

Westchnęła i przewracając oczyma, wskazała na niego palcem. Ach... o tym nie pomyślał. Lekko się zaczerwienił, przypominając sobie, jak desperacko szukał jej po wiosce.

— Dobrze – powiedział po chwili – w takim razie przejdę się do niego jeszcze dziś i zapytam o zdanie.

— Nie ma takiej potrzeby – odpowiedziała, ponownie kładąc się na postaniu – pójdziemy jutro razem. A teraz jak już ustaliliśmy, co zrobimy, mogę iść spać? Naprawdę jestem zmęczona.

Sulim posiedział jeszcze parę minut w ciszy, po czym bez słowa wstał i opuścił małe pomieszczenie. Wyszedł na zewnętrzny karczny i oparł się o ścianę. Zamyślił się, oddychając rześkim nocnym powietrzem. Pewna część jego umysłu, ta najbardziej racjonalna, sugerowała, że nadszedł czas rozstania się z tą kobietą. Było miło, było nieologiczne, ale teraz już nie potrzebowała jego pomocy. Powinien z rana udać się do miasta, wolny od inkwizycji oraz tajemniczych wydarzeń. Wędrowny muzyk i bard, syn kowala. Zastał się nerwowo, słysząc własne myśli. Postanowił posłuchać się ich, przynajmniej częściowo. Jeżeli Ewald odmówi przyjęcia ich obojga, to odegdzie, zostawiając Freje samą ze starym najemnikiem. Takie rozwiązanie było najlepsze dla niej i dla niego. Do tego było logiczne i jak najbardziej racjonalne. Rzeczywistość miała jednak inne plany. Podczas gdy pogrążony w myślach Sulim rozmyślał nad najbliższą przyszłością, Cymir wyszedł przed karczne spotkanie się ze swoim dołym kolegą, kupcem. Przyjezdny wyglądał na lekko speszzonego i przestraszonego. Poprosił karczmarza by odeszli na bok, z dała od drzwi, chcąc, by nikt nie usłyszał ich rozmowy. Pechowo stanęli parę metrów od rogu, za którym stał Sulim.

— Co cię sprowadza tu w środku nocy? – zapytał zdziwiony karczmarz.

— Ja... eee... tego... przejeżdżałem obok. Tak przejeżdżałem obok. I tak przejeżdżając obok, postanowiłem zobaczyć, co u ciebie – z tonu jego głosu dało się wyczytać wyraźne zdenenowanie.

— Dobrze się czujesz? – zapytał Cymir, próbując pomimo ciemności przyjrzeć się jego twarzy.

— Tak, tak. Jestem tylko trochę... zmęczony. Wpadłem tylko tak na chwilę się przywitać – przekonywał, równocześnie będąc niesamowicie nieprzekonywującym – Parę dni temu prosiłeś mnie, bym się dowiedział czegoś o dwóch osobach, które się u ciebie zatrzymywały...

— Ach tak, pamiętałem – przerwał mu karczmarz, machając ręką – przepraszam za to, jestem najwyraźniej przewrażliwiony. Normalni ludzie, choć trochę dziwni.

— A... dągle u ciebie są?

Cymir spojrzał na swojego przyjaciela zmartwiony. Nigdy się tak on nie zachowywał. Zazwyczaj opanowany i pewny siebie był teraz strzępkiem nerwów.

— O co chodzi? Czemu się o nich wypytujesz? Dowiedziałeś się czegoś niepokojącego?

— Nie, nie, nie, gdzie tam! – zapewniał – Tak tylko z ciekawości pytam.

— Tak są. Kobieta śpi, mężczyzna pewno zaraz zacznie grać w mojej karcznie na lutni – odpowiedział – choć do środka, posłuchasz go, dam ci piwa, odpocznesz trochę. Może się wtedy trochę uspokoisz.

— Dziękuję ci... ale może później, muszę teraz jeszcze... coś zatawić.

rzadko widywało się kobiety noszące przy sobie broń. Z reguły pochodziły wtedy one zza granicy.

— No to w takim razie, jaki jest plan? – zapytał.

Leżąc, wymownie rozłożyła ręce. Jak dotąd skutecznie udawało się jej spychać ten problem na później. Sulim westchnął i zamyślił się, szukając rozwiązania. Potrzebował czegoś, co zgrabnie łączyłoby się z dzisiejszym kłamstwem. Coś, w co Cymir z łatwością by uwierzył.

— Powiedzmy, że uwiódłby cię jakiś młody mężczyzna z wioski – zaczął powoli – mogłabyś wtedy zniknąć na całe dni i niktogo by to nie dziwiło. Dla dramaturgi mogłabyś wieczorem wracać z sianem we włosach.

— Skąd weźmiemy wiarygodnego kochanka-widmo? Też musiałby zniknąć albo musiałby nieustannie obok niego się kręcić.

— Bojar. Jest myślówym, rano wchodzi do lasu, wieczorem wychodzi.

— Ciekawe... – powiedziała, mrużąc oczy – który to?

— Ten, co przedwcześniej po pijaku opowiadał, jak to kochał się z każdą kobietą w wiosce. Powinnaś to pamiętać, był wyjątkowo przy tym głośny. Ktoś mu chyba nawet wtedy przytożył.

— Tak, pamiętam. Młody, głupi, nawet nie najgorzej wyglądający. Idealny.

— Powiedz mu jakiś komplement, usmiechnij się, reszta dopowie jego wyobrażenia. Trochę alkoholu i będzie wszystkim opowiadał o waszej wielkiej miłości. Jeżeli dobrze pójdzie, to wykorzystasz swoją ciągłą nieobecność do dodania sobie wiarygodności. No i nie chodź więcej w spodniach. Spróbuj też jutro znaleźć ci jakąś bardziej rzucającą się w oczy suknię.

— Jesteś pewien? Może w rzeczywistości Bojar jest całkiem pocziwym człowiekiem?

— Uwierz mi, byłem zmuszony z nim rozmawiać.

Po dłuższej chwili milczenia Freja podniosła się z postania i spojrzała Sulimowi w oczy.

— Po co to wszystko? Po co te kłamstwa i udawanie. To się dobrze nie skończy.

— To w takim razie co proponujesz?

— Jutro powiedzmy Cyminowi, że opuszczamy wioskę i udajemy się w dalszą podróż do miasta.

— A co z Ewaldem? Przecież chciał, by ci uczył. Stąd cały ten problem.

Usmiechnęła się, wpatrując się w Sulima. Czuli, że nie spodoba się mu jej po-mysł.

— Dlatego, zamiast opuszczać wioskę, zrobimy kółko i wprostym się do chaty Ewalda.

Nie spodobał się.

— Zgodzi się na to? – zapytał po chwili ciszy.

— Och, będzie wprost wniebowzięty! – zrobiła krótką pauzę, po czym dodała – Zapytać przecież nie zaszkodzi, prawda? Szczerze mówiąc, to już dziś proponował mi, bym zamieszkała u niego na czas nauki.

Sulim kaszlnął cicho.

— Eee... jakby to powiedzieć... – zaczął – czy nie zabrzmiąło to trochę... bo ja wiem, podejrzenie? Wiesz, samotny mężczyzna o wątpliwej przeszłości bezinteresownie proponuje dużo młodziej od siebie kobiecie, by u niego zamieszkała...

— Nie, mimo wszystko, nie – stwierdziła krótko.

twarzą sierżanta, dodał spokojnie – każdej duszy trzeba dać ostatnią szansę. Choć na zewnątrz niewątpliwie szaleje demon to być może w środku dusza kobiety rozumie swoje błędy i chce wyrzucić się z siebie zła. Wtedy moim obowiązkiem, jako inkwizytora, jest pośpieszyć jej z pomocą.

Młodszy sierżant przypadkiem spojrzał w oczy Mauricio. Przeszedł go zimny dreszcz. Rozmowa Ostatniej Szansy, jasne. Z udziałem dużej ilości ostrych narzędzi. Nie, ten człowiek prędzej zjadłby kogós, niż by mu pomógł.

— Młodszy sierżancie Szprota – wyrecytował, bardziej niż wypowiedział inkwizytor.

— Tak jest wasze Ekszelencjo!

— Możecie wyjść.

— Tak jest wasza Ekszelencjo!

Szprota starał się zrobić to powoli. Naprawdę starał się ze wszystkich sił spokojnie otworzyć drzwi i powolnym krokiem wrócić do świata istot żywych. Niestety jak zwykle mu to nie wyszło.

* * *

Usłyszała kroki. Chciała krzyknąć coś niecenzurального, ale nie miała chwilowo na to siły. Zaciekawilo ją za to, kto to mógł być. Nie była to pora posiłku, a strażnicy zawsze trzymali się w miarę możliwości z dala od jej celi. W końcu była groźną wiedźmą. Może postanowili ją wreszcie spalić? Niespecjalnie jej to przeszkadzało. Miała już dość bycia więzioną i wołałaby spróbować, być paloną. Pozostawał jednak ten mały problem bólu. Jak bardzo bycie palonym żywcem mogło boleć? W końcu kroki ustały. Rozległ się zgrzyt zamka i po chwili drzwi stanęły otworem. W otoczeniu dwóch strażników stał odziany w czarne szaty człowiek. W przeciwieństwie do nich był niski i gruby. Posiadał do tego irytującą zakręconą wąs. Siedząca na podłodze kobieta przekrzywiła o czterdzieści stopni głowę, zrobiła zeza i pokazała mu język.

— Zjem wasze dusze nędzni śmiertelnicy – krzyknęła swoim najmroczniejszym głosem.

Choć obaj strażnicy wydali się przerażeni, wielki królewski inkwizytor Mauricio usmiechnął się z lekka. Nie wiedzieć czemu miała ochotę wstać i uderzyć go z całej siły w twarz. Sama ta myśl rozbawiła ją i jako że, szaleńczego śmiechu u wiedźm nigdy za mało, zaczęła się niekontrolowanie rechotać.

— Wyjdźcie i zamknijcie za sobą drzwi – powiedział spokojnie Mauricio.

Strażnicy, choć mocno zaniepokojeni zaistniałą sytuacją, posłusznie wykonali polecenie. Gdy ponownie rozległ się dźwięk zamykanego zamka, Mauricio leniwie spojrzał w oczy kobiety.

— Cześć sepie oczy – powiedziała, przybierając normalny wyraz twarzy – ty tu rządzić? Ty mnie na stos palić? Ja groźna wiedźma być. Ty bać się o swoją dusza. Argh. Argh.

— Urocze, naprawdę. Długo to układałaś?

— Wiesz, zapewni mi na to nad wyraz dużo czasu. Człowiek zaczyna się aż palić, by wreszcie się spalić.

Mauricio stał. Dopiero teraz do niej dotarło, że był na tyle niski, by móc wystawać się w tym małym pomieszczeniu. Już chciała rzucić jakąś kąśliwą uwagę, gdy wielki inkwizytor jej przerwał.

— Nie przedłużajmy tej rozmowy. Ty mi powiesz, co chcę wiedzieć i zapominmy o tym całym paleniu na stosie. Twoja dusza nagle oczyści się w świetle mojego miłosierdzia, czy też coś innego w tym rodzaju.

— Brzmi wspaniale. Co chcesz wiedzieć? Obawiam się tylko, że moja wiedza może kończyć się na układzie kamieni w tej celi.

— Dobrze wiesz, co chcę wiedzieć.

— Mogę zaproponować zmianę w konstrukcji stosu? Te kawałki drewna z lewej wydają się mało stabilne.

Mauricio skrzywił się i odwrócił od niej twarz.

— Jutro spłomiesz. Mam nadzieję, że nie będzie bolało za bardzo. Słyszałem, że pomaga myślenie o czymś chłodnym.

— Niski gruby człowieku o brzydkich węsach – przerwała mu – chcę, byś odpowiedział mi na jedno pytanie. Taka mała prośba umierającej kobiety.

— Zależy od pytania – odparł Mauricio, nie odwracając głowy.

— Chodzi o noc, której uciekałam. Nie posiadam z niej żadnych wspomnień.

Wielki inkwizytor zamyślił się na chwilę. Wybiorcza annieja na skutek uderzenia w głowę? Jak najbardziej możliwe. Odwrócił się i ponownie spojrzął jej w oczy. W lekko zlewnych tęczęwkach skrywało się coś trudnego do określenia.

— Doniesiono mi, że podczas obchodu zastrano drzwi do celi otwarte a samo pomieszczenie puste – zaczął powoli – Natychmiast wysłano pościg. Jeżeli naprawdę utraciałś wspomnienia z tamtej nocy, to nigdy nie dowiemy się, jak tego dokonałaś. Najwyraźniej nie znałaś okolicy, gdyż moi ludzie znaleźli cię na brzegu kłifu. Podobno z braku lepszych perspektyw chciałaś skoczyć i dokonać tym swojego żywota. Złapał cię, jednak nim się na to zdobyłaś – przerwał, by zacząć pnać oddech – nic więcej nie wiem.

— Dziękuję – powiedziała ze szczerą wdzięcznością.

Mauricio lekko kiwnął głową, po czym krzykownie zapukał w drzwi i opuścił cele. Gdy kroki wreszcie umilkły, ponownie się skuliła. Nie chciała, by jutro wszystko się skończyło. Zdziwiło ją to z lekka. Przecież jeszcze pięć minut temu dałaby wszystkim by wreszcie przestać być więzieniem tej małej celi. Po krótkiej chwili komplementacji podniosła głowę i podsunęła się do okna. Spojrzała na czyste wieczorne niebo. Zaintekawilo ją, co by się stało, gdyby jutro cały dzień miało padać. Usmiechnęła się szeroko.

— A jeżeli mamy brzydki człowieku myślisz, że dam ci się spać na twoim głupim stosie to się grubo mylisz – krzyknęła co sił przez okno.

* * *

Mauricio siedział w swoim gabinecie. Nigdy nie spodziewał się, że coś tak błahego, jak deszcz będzie w stanie aż tak go zrytować. Teraz każda kropla uderzająca w dach szarpała każdym nerwem jego ciała, wygrywając wspaniałą symfonię rytacji. Jak mógł spać kogós na stosie, gdy od rana lało? Oczywiście wyobraźni ujrzał wykrzywianą w paskudnym uśmiechu twarz siedzącej w celi kobiety. Wydało mu się, że słyszy jej rechot.

— A śmieję się, śmieję – krzyknął, sam nie wiedząc do kogo – no i tak spłomiesz, prędzej czy później.

No cóż, przecież nie mogło padać wiecznie.

— Ja o niczym nie wiedziałem – odpowiedział, zaskanując się rękoma – przecież szukałem jej ładne parę godzin.

— No do brą, wprowadz ją do środka, później z wami porozmawiam. Nic nie złamała?

Oboje pokiwali przecząco głową.

— Chociaż tyle. Ja wracam do karczmy, mam piwo do serwowania – powiedział szorstko, kończąc rozmowę.

Wylat jeszcze zawartość garnka na trawę i wyraźnie zdenewrowany zniknął im z oczu. Oboje odetchnęli z ulgą. Freja wgramoliła się do środka i dowiekszy się w końcu do swojego posłania, położyła się na nim ostrożnie. Sulim usiadł obok.

— Jaki Ewald? Jakie złoto? Jakie wilcze doły? – zapytał, lekko zmieszany.

— Ewald to podstarzały były najemnik. Mieszka sam w chacie po drugiej stronie rzeki. Według lokalnych legend ma wór złota. Najwyraźniej hobystycznie zajmuje się też kopaniem wilczych dołów. Wpadłam wczoraj w jego siłła, kiedy przypadkiem zawędrowałam w tamte okolice.

— Skąd o nim wiesz?

— Cymir mi opowiedział – odparła, wzruszając ramionami.

— Opowiesz mi, co naprawdę dziś się wydarzyło? – zapytał łagodnie.

Kiwnęła twierdząco głową, po czym zamyśliła się na chwilę, szukając słów.

— Zabrzmi to pewnie głupio, ale rano zawędrowałam pod drzwi domu Ewolda. O tak sobie, bez powodu. Ewald jak tylko mnie zobaczył, postanowił natychmiast udzielić mi lekcji fechtunku, o tak dla zabawy. Bez bliżej określonego powodu.

— Owszem, brzmi to głupio.

— Oczywiście pytałam się, dlaczego chce mnie czegośkolwiek uczyć. Odpowiedział, że jak mi się coś nie podoba, to w każdej chwili mogę odejść.

Zrelacjonowała krótko Sulimowi wszystkie zdania, które udało się jej wymienić ze starym najemnikiem. Opisała też pół dnia zbierania śniaków po całym ciecie.

— Dziwne to wszystko – podsumowując jej słowa – i nie masz nawet choćby mglistych podejrzeń, dlaczego chce ci pomóc?

— Owszem mam, ale nie są zbyt przekonujące. Od Cymira wiem, że dawno temu zmarła mu młodzintka córka. Szkolił ją sobie na małą wojowniczkę. Może mu ją przypominał?

Rzeczywiście nie był to mocny argument. Kiwnął głową na znak zrozumienia i przeszedł do dalszych pytań.

— Uważasz, że przez parę dni albo tygodni nauczysz się czegośkolwiek? Walki mieczem ludzie uczą się latami.

— Ewald powiedział mi, że mam szanse stosunkowo szybko zacząć prawidłowo wykorzystywać wyrobione już odruchy. Nie zastąpi to straconego doświadczenia, ale może kiedyś uratować mi życie.

— Rozumiem, że chcesz regularnie chodzić na jego lekcje – kontynuował – nie wygodniej byłoby wytłumaczyć to Cyminowi? Co mu powiemy jutro? Albo pojutrze?

— Nie. – odpowiedziała, przecząco kiwając głową. – Pado by wtedy wiele niewygodnych pytań. Trudno też powiedzieć jak skończyłoby się to dla starego Ewolda. Obecnie nikt na niego nie zwraca uwagi i mu najwyraźniej z tym dobrze.

Mogła mieć rację. Mała dziewczynka z dewinarnym mieczem rodzila uśmiechy na twarzach. Dorosła kobieta wręcz przeciwnie. Zaraz podniosłby się krzyki o miszczeniu obyczajów i upadku moralnym. Ludzi mogliby ich jeszcze tego samego dnia wygnąć z wioski. W miastach poglądy na ten temat były mniej skrajne, choć i tak bardzo

zgrzytał zębami. Gdyby minęły trzy dni. Albo chociaż pełna doba. Wtedy mógłby się zamartwiać, ale po paru godzinach było to zwyczajnie śmieszne. Koń ciągle stał w stajni, bagaże były na swoim miejscu. Nie poszłaby bez niczego. Pożegnałby się. Jak najbardziej logiczne argumenty. Jeśli miał się już czymś przejmować, to przejmowałby się, czy nie stało się jej co złego. Nie, nic nie pomagało. Po długich próbach racjonalizowania w końcu się poddał. Postanowił rozwiązać problem w bardziej bezpośredni sposób, zwyczajnie szukając jej. Miał jednak już dosyć bezsensownego chodzenia po wiosce i rozważał powrót do karczmy. Zanim zdążył jednak podjąć decyzję, ujrzał znajomą sylwetkę idącą przez most. Chciał krzyknąć, chciał pobiec, chciał wiele rzeczy, lecz się opanował. Wtedy ujrzał, że z trudem stawiała kroki, kuczowo trzymając się barierki. Zostawiając całe swoje opanowanie za sobą, podbiegł do niej. Choć światła było już mało, bez problemu zauważył poplamione kroplami krwi ubrania, rozcięty policzek oraz pokryte zadrapaniami dłonie. Podwinęte rękawy kurtki odsłaniały liczne siniaki.

— Co się stało? – krzyknął przerażony.

Freja odwróciła w jego stronę głowę i uśmiechnęła się kwaśno.

— Nic mi nie jest – powiedziała niezbyt przekonywująco – jestem tylko trochę poobijana. Wiem, wyglądam prawdopodobnie strasznie, ale naprawdę nic mi nie jest. Parę siniaków i płytkie zacięcie.

— Ledwo idziesz! – kontynuował, w najmniejszym nawet stopniu nieprzekonany.

— Bo jestem zmęczona, ale nie rana. No i oberwałam raz w lewą łydę – powiedziała, rozmasowując bolące miejsce – Spokojnie, wszystko wyjaśnię. Teraz jedynie, o czym marzę, to położyć się na miękkim pościu.

Przez chwilę Sulim usiłował coś powiedzieć. Spojrzał jeszcze raz na poobijaną postać i w końcu kiwnął głową na znak zrozumienia.

— Pójdźmy za karczmę, przyniosę ci ubrania i się tam przebierzysz. Może uda nam się nikogo po drodze nie spotkać.

Chciał pomóc jej iść, ale odmówiła, chcąc pokonać resztę drogi o własnych siłach. Powoli przeszli przez pogrążającą się z wolno w nocy wioskę. Czasem w oddali zauważali kogoś wracającego przez pole do domu, jednak szczęśliwie nikt nie zwrócił na nich uwagi. Dotarli w końcu do tylnych drzwi karczmy. Zanim zdążyli pociągnąć za kłankę, ze środka wyszedł karczmarz. Niósł w rękach garnek z pomyjami. Spojrzał na Sulima, spojrzał na oświetloną wypadającym z wnętrza otwartych drzwi światłem Freje.

— Co się... – zaczął.

— Spadła ze schodów – przerwał mu Sulim, instynktownie mówiąc pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy.

— Spadła ze schodów? – zapytał, nie dowierzając.

— Spadłam ze schodów – potwierdziła, kiwając głową Freja.

Sytuacja była beznadziejna. Zmusiła swój zmęczony umysł do chwili intensywniej pracy. Połączyła razem parę faktów i na szybko spłótła adekwatnie wiarygodne kłamstwo.

— Poszłam oglądać okolice chaty Ewalda. Wiesz, złoto i takie tam... – powiedziała cicho.

Cymir na chwilę zmarszczył czoło, po czym głośno westchnął.

— Nie ty jedna – powiedział z przekąsem – i co? Brat cię w końcu znalazł w jakimś wilczym dole? Mogłem się spodziewać – spojrzał ostro na Sulima.

* * *

Jak zwykle obudzili ją odległe kroki. Złapała się okna i podciągnęła do góry. Choć był ranek, na zewnątrz ciągle było jeszcze ciemno. Gęste deszczowe chmury praktycznie całkowicie zakrywały słońce. Zgrzytnął zamek i w drzwiach stanął nieznanym jej dotąd mężczyzna. Nie zdziwiło jej to specjalnie, gdyż strażnicy zmieniali się co-dziennie. Podejrzewała, że ciągnęli losy. Gość z surowym wyrazem twarzy wkroczył do środka. Szybkinie energicznymi ruchami wymienił wiadro na puste i położył na misie kromkę chleba, staramie unikając przy tym jej wzroku. Miała ochotę rzucić w niego kamieniem.

— Spójrz na mnie – powiedziała spokojnym tonem.

Mężczyzna odwrócił się, ignorując jej słowa i przygotował się do wyjścia.

— Padła już drugi dzień – kontynuowała – mam prośbę. Długo już nie pożyję, a koshmarne mi się nudzi. Przynieście mi coś, czym mogłabym się zająć, jakąś książkę na przykład. W zamian obiecuje być spokojna – odczekała chwilę, obserwując reakcję mężczyzny. Ten stał jednak w całkowitym bezruchu – proszę – dodała cicho.

Trzasnęły drzwi i zgrzytnął zamek. W samotności wsłuchiwała się w powoli gasnące kroki. Westchnęła ciężko. Dziewięć dni w zamknięciu. Ponownie przysunęła się do okna i spojrzała w czarne burzowe chmury. Zastanawiała się, jak długo chce się jej przeciągać tę farsę. Kiedyś przecież musiało przestać padać, a przebywanie w ciasnej celi dawno przestało ją bawić.

* * *

Czas się jej straszliwie dłużył. Z powodu paskudnej pogody nie było nawet jak obserwować ludzi poruszających się po placu. Zbliżało się południe, gdy nagle zaskoczyło ją gwałtowne otwarcenie drzwi. Skupiona na obserwowaniu smętnego krajobrazu nie usłyszała, że ktoś nadchodził. Ostrożnie odwróciła głowę. Ujrzała dwóch chytrze uśmiechniętych strażników. Poznała ich. Na jednego z nich parę dni temu opróżniła wiaderko. Ostrożnie zaczępnęła powietrza, czując, jak pot skrapla się jej na plecach. Bardzo, ale to bardzo nie spodobała się jej sytuacja, w której się znalazła. Niższy z nich, z krótko przyszytą grzywką, zrobił krok do przodu.

— Odwiedził cię nasz kapitan – rzekł krótko.

Przez jej umysł szybko przeleciały wspomnienia z rana. Rzeczywiście, mundur strażnika sprzed paru godzin był trochę inny.

— I po tej krótkiej wizycie powiedział nam bardzo ciekawą rzecz – rzucił drugi, nie ruszając się ze swojego miejsca – widzisz, wyraził zgodę na coś, o co go prosiłismy już od paru dni.

Lekko dygocząca kobieta zapanowała nad strachem. Ignorując spoczywający na niej wzrok strażników, wyprostowała się i usiadła, przybierając spokojny wyraz twarzy. Jaki był sens paniki? No i tak nie miała gdzie uciekać.

— Widzisz, kapitan to dobry człowiek – kontynuował szeroko uśmiechnięty – i zazwyczaj pozwala nam trochę ożywić życie więźniów.

— Ale ty miałas być groźną wiedźmą – przerwał mu strażnik stojący z tyłu – i nawet od patrzenia na ciebie mieliśmy tracić wzrok i duszę.

— Czy też co tam się traci od patrzenia na groźne wiedźmy – dodał ten z przodu, po czym włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z kieszeni talię kart. Zręczne palce szybko zaczęły tasować jej zawartość.

— Pierwszy raz gościł tu damskiego więźnia – mówił, nie przerywając tasowania – ale mamy nadzieję, że kobieta też zachce z nami zagrać.

— Prawde mówiąc nie wiemy nawet jak cię nazywać – ponownie wtrącił się ten drugi – Więźniarka? To brzmi jak nazwa jakiegoś wozu¹.

— Ach i my tu uprawiamy prawdziwy hazard, bez żadnych taryf ulgowych – przewrzał na chwilę tasowanie, by wskazać palcem misiek z niejedzoną jeszcze kromką chleba – jedzenie stawka dobra jak każda inna.

Mówiąc to, wolną ręką wyciągnął z kieszeni czerwone jabłko. W głowie dumnie siedzącej kobiety rozbiło oślepiające światło. Miała szanse wygrać jabłko. Uśmiechnęła się, walcząc z napływającymi łzami. Strażnicy spojrzeli na siebie najwyraźniej zadowoleni z jej reakcji.

— To w co diabełski pomiot raczy zagrać – zapytał jeden z nich.

Po paru głębokich oddechach odparła opanowanym głosem.

— Diabełski pomiot szybko się uczy – spojrzała tasującemu prosto w oczy – wybieracie coś.

Gdy dwaj strażnicy przygotowywali sobie obok niej miejsca, ponownie rzuciła okiem na kłębiące się czarne chmury. Szykowały się wyjątkowo deszczowe tygodnie.

* * *

Byli przyszywanymi braćmi. Obaj stracili rodziców podczas epidemii przed szesnastu laty. Wychowała ich bezdarna wdowa, która przygarnęła ich, by wypełnić pustkę w życiu po zmarłym małżonku. Początkowo żyli z oszczędności pozostawianych przez jej męża, łapiąc się dorywczych prac, jednak z czasem zaczęła doskwierać im bieda. Dla dwóch młodych chłopców bez fachu i wykształcenia były tylko dwie możliwości – wojsko albo straż. Wybrali straż. Za dużo nie zarabiali, ale na utrzymanie podstarzałej już przyszywanej matki wystarczało. Nazywali się Kord i Bartok. Kord, starszy o rok, był niskim blondynem, kompletnym przeciwieństwem późnie zbudowanego czarnowłosego brata.

— Mówię ci, Mauricio chodź! wściekły jak osa – powiedział, rzucając na podłogę kartę.

Padło już pięty dzeń. Z powodu nieustannych opadów strażnicy mieli sporo wolnego czasu, przez co przychodzili do więziennej kobiety codziennie, spędzając w jej celi nawet po parę godzin.

— Ale nie tylko on jest zły – kontynuował jego brat, uważnie przyglądając się swojej ręce – ulice dosłownie płyną i nie ma jak prowadzić handlu – nie przerywając, zagrał kartę – krążą plotki, że przyczyną deszczu jest pewna wiedźma, która jest więziona przez inkwizycję.

Siedząca po turecku kobieta bez słowa pokazała pozostałym swoją rękę. Obaj bracia cicho westchnęli, po czym Kord wyjął z kieszeni kielbasę i rzucił ją przed siebie. Szczęśliwa zwycięzczyńi znacznym ruchem złapała ją i natychmiast przystąpiła do konsumpcji.

— Sugerujecie, że mieszkający będą się domagali natychmiastowego usunięcia problemu? – zapytała w przerwie pomiędzy kęsami.

Bracia zgodnie przytaknęli, przybierając smętny wyraz twarzy. Przez ostatnie dni zdążyli ją polubić i wizja natychmiastowej egzekucji nowej przyjaciółki niezbyt przypadła im do gustu.

¹ autor umiera ze śmiechu

Jako odpowiedź dostała jedynie gest ręki zbywający pytanie. Chwilę później doszli do niewielkiej polany. Wyraźnie wydeptana trawa otoczona była niewysokim wałem, usypanym z ziemi i kamieni. Tworzył on prostokąt wielkości małego pomieszczenia. Ewald dał jej znak, by weszła do środka, a sam zniknął na chwilę między drzewami. Nim zdążyła na poważnie rozważyć ucieczkę, wrócił, niosąc w ręku dwa podstawy, drewniane miecze. Przekroczył wał i rzucił jej jeden z nich. Złapała go i instynktownie uniosła w pozycji obronnej. Najemnik szczegółowo zarejestrował ten ruch, po czym przyjrzał się jej dłoni zaciskającej na rękojeści. Zaczął powoli iść w jej kierunku i po paru krokach płynnym ruchem dłoni obrócił opuszczony dotychczas miecz. Zaatakował nieoczekiwanie. Sparowała, sama nie wiedząc jak. Mężczyzna ponownie opuścił miecz i spojrzal jej w oczy. Powolnym ruchem złapał Freję za nadgarstek, ściskając go mocno. Jęknęła cicho, upuszczając na ziemię broń. Najemnik puścił ją i odszedł dwa kroki do tyłu.

— Mogłabym się dowiedzieć, o co panu chodzi? – zapytała, rozmasowując pulsującą bolącą dłoń.

Starzec otworzył usta, lecz je szybko zamknął. Ponownie się zamyślił.

— Masz budowę ciała osoby trenującej walkę od dziecka – powiedział po długiej chwili ciszy – lecz jednocześnie wydajesz się słaba i bezsilna. Czasem kroczysz lekko, nie wydając żadnych dźwięków, czasem chodzisz jak parobek, na nic nie zwracając uwagi. Masz wyśmienity refleks i bezbłędne odruchy, lecz jednocześnie sprawiasz wrażenie, jakbyś nie wiedziała, co robisz. Nigdy nie spotkałem się z niczym podobnym.

Powiedzieć... nie powiedzieć... Raczej nie powinna była opowiadać każdej napotkanej osobie o ucieczce z więzienia. Nie była jednak w stanie wyobrazić sobie Ewald biegnącego powiadomić o niej inkwizycję.

— Czy jakbym powiedziała, że straciłam znaczną część pamięci po bliżej nieokreślonym okresie goszczenia u inkwizycji, odpowiedziałoby to na parę pytań?

— Tak – stwierdził, wpatrując się w jej w oczy – to rzeczywiście by wyjaśniało wiele rzeczy. Zakładając oczywiście, że mówisz prawdę – milczał chwilę, błędząc gdzieś myślami – albo nie przedstawiasz jej w pokretny sposób – dokończył – W takim razie kim uważasz, że byłaś?

— Złodziejską zabójczynią? – odpowiedziała, wrzuszając ramionami – albo zabójczą złodziejką.

— Czemu do mnie przysłaś?

— Czemu mnie tu przyprowadziłeś?

— Chciesz, bym ci pomógł? – zapytał, wskazując palcem leżący na ziemi miecz – mogę od nowa nauczyć cię podstaw.

Freja wlepiła wzrok w drewnianą broń. Może właśnie po to tu przysłała? Zdecydowała się.

— Chceę – odpowiedziała krótko.

* * *

Słońce powoli już znikło za horyzontem. Suliń od ponad godziny krążył po wiosce, szukając Freji. Nie widział jej od rana. Sprawiał wrażenie wskakłego i rzeczywiście taki był. Na niczym nie mógł się skupić, w kółko rozważając te same myśli: Odeszła zostawiając mnie samego? W końcu jestem tylko losowo spotkanym bardem, czemu miała ze mną podróżować? Czemu ja miałem z nią podróżować? Rozsierdzony

do uszu karczmarza. Wszedł do sali i rzucił z lekka gniewne spojrzenie w kierunku swoich gości.

— Co to, to nie. Cenie pański śpiew, ale żadnych pieśni o pladze. Jeszcze ją tu przywołacie, nigdy nie można być za ostrożnym. Do tego wszystkich mi wystraszyć takim śpiewaniem.

— Dziękuję za ostrzeżenie – odparł spokojnie muzyk, w międzyczasie kładąc miskę przed Freją – będę unikał tej tematyki.

Cymitowi najwyraźniej to wystarczyło, gdyż zadowolony kiwnął głową i poszedł kontynuować przerwaną czynność, czymkolwiek ona była.

— Nie jesteś zła albo urażona? – zapytał ostrożnie.

Pokiwała tylko przecząco głową, nie przerywając przelykania lekko wysuszonej już kaszy. Nie wiedział co jeszcze powiedzieć. Usiadł więc ponownie na swoim miejscu i pobierał wszystkie kartki w schludną kupkę. Wpatrzył się tępo w niewielkie gęsie pióro sterczące z kałamarza. Raczej nie było szans, by teraz był w stanie jeszcze coś stworzyć. Po chwili Freja upuściła drewnianą łyżka do pustej już miski.

— To ja pójdę pomóc Cymitowi, w czymkolwiek on tam robi¹ – powiedziała, wstając z krzesła – zajmę się czymś, to może zapomnę o irytującym rwaniu w bio-drze.

Złapała jeszcze miskę i kulejąc, odeszła zostawiając Sulima samego. Ten zamknął kałamarz i podniósł opartą o nogę stołu lutnię. Pociągnął lekko za struny i wsłuchał się chwilę w ciepłe dźwięki. Jego wzrok padł na leżącą na wierzchu kartkę, pokrytą wieloma rządami intensywnie pokreślonych nut. Palce same zagrały krótką melodię, a powietrze rozniósło ją po całej karczmie.

— Pasuje do słów – krzyknął kobiety głos gdzieś zza ściany.

Uśmiechnął się i zagrał coś radośniejszego.

* * *

Następnego ranka ból częściowo ustąpił. Choć nadwyreżona kostka ciągle dawała o sobie znać, to mogła już normalnie chodzić. Po sytym śniadaniu i wysłuchaniu nad wyraz ciekawych poglądów społeczno-politycznych Cymira postanowiła zniknąć na parę godzin. Wymknęła się niepostrzeżenie i nie mając żadnego konkretnego celu na myśli, ruszyła przed siebie. Będąc już po drugiej stronie mostu, stanęła w miejscu, zastanawiając się, gdzie tak właściwie zmierzała. Odwróciła na chwilę głowę, rozważając czy na pewno nie zawrócić. Nie zawróciła. Idąc wzdłuż brzegu rzeki, dotarła do drewnianej ławy, na której parę dni temu widziała Ewalda. Ka-walek obok niej w las wchodziła wąska ścieżka. Skreśliła w nią i po paru minutach marszu znalazła się przed niewielką drewnianą chatą. Ostrożnie podeszła do drzwi i niepewnie w nie zapukała. Rozległy się ciche kroki i po chwili przed nią stanął stary najemnik. Uśmiechnęła się niepewnie.

— Ja... – zaczęła, lecz uświadamiając sobie, że nie wie, po co przyszła, zamilkła.

Mężczyzna dał jej znak ręką, by odsunęła się z przejścia, po czym wyszedł na zewnątrz. Wyjął z kieszeni masywny klucz i przekreślił zamek w drzwiach. Ruszył powoli w kierunku lasu i po paru krokach odwrócił głowę, sugerując, by do niego dołączyła. Ubrany był jak wczoraj, w grubą skórzaną kurtkę oraz sztywne spodnie.

— Przepraszam, ale gdzie idziemy? – zapytała po paru minutach marszu.

¹ płótno warkoczki ze stokrotek

— No to, czym się przejmujecie? – zapytała, widząc ich ponure miny – Prawdopodobnie mnie zetną albo powieszę. Stukrotnie wolę taką śmierć od spalenia żywcem.

W ciszy obaj bracia obserwowali, jak siedząca przed nimi nadzwyczaj groźna wiedźma szybkimi ruchami zbiera z podłogi karty i zaczyna je tasować. Rzeczywiście szybko się uczyła.

— Przecież to bez sensu – krzyknął Bartok, przerywając jej rozdawanie, lecz umilkł, nie widząc co dalej powiedzieć.

— Wy wiecie, ja wiem, Mauricio wie, być może wasz kapitan wie – powiedziała spokojnie – lecz co zrobić?

— Ale dlaczego wielki królewski inkwizytor chce koniecznie zabić niewinną kobietę, wmawiając przy tym wszystkim, że jest ona wiedźmą? – zapytał drugi brat, podnosząc z ziemi swoje karty.

— Dziwne pytanie – odpowiedziała spokojnie – Czy inkwizycja kiedykolwiek zajmowała się czymkolwiek innym?

Poza tym, kto powiedział, że była niewinna. Z krótkiej rozmowy z Mauricio wnioskowała, że jej poprzedniczka zrobiła coś, co mocno zdenerwowało inkwizycję.

— Ale dlaczego konkretnie ty? – kontynuował – Przecież nie paliliby pierwszej losowo spotkanej kobiety. Zresztą nie wydajesz się mi być pierwszą losowo spotkaną kobietą.

Podniosła z ziemi przypadające jej karty i się skrzywiła. Były beznadziejne, dawno nie miała takiego pecha. Odłożyła je na bok i wyciągnęła do przodu nogi, opierając się o chłodną ścianę. Sama chętnie poznałaby odpowiedź na pytanie Korda. Wspomnienia kobiety, której ciało przejęła odeszły na zawsze wraz z jej śmiercią. Zastanowiła się chwilę co mu odpowiedzieć.

— Nie rozmawiajmy o rzeczach, których zmienić nie możemy – zaczęła – Już pogodziłam się ze swoim losem, więc zmieńmy temat – było to lekkie kłamstwo, czego dowodem była choćby pogoda za oknem, lecz bracia nie musieli tego wiedzieć – Wy za to zmieniliście bardzo dużo już samą swoją obecnością – kontynuowała – ubarwiliście ostatnie dni skazanej na śmierć kobiety, za co jestem wam niesłychanie wdzięczna. Dzięki wam miałam z kim porozmawiać i z kim się pośmiać. Jeżeli naprawdę jutro czeka mnie ścieżka, to pójdę na nie z uśmiechem na twarzy. Ba, być może nawet powykrykuję w stronę gapiów jakies słowa godne groźniej widźmy.

Korzystając z chwili nieuwagi, zręcznym ruchem podniosła swoje karty z ciagle leżącymi na ziemi kartami Bartoka. Zaciekawilo ją czy naprawdę była aż tak dobrą oszustką, czy raczej bracia przytykali oko na jej przekrety.

— Rozumiemy, że nie chcesz nam o sobie opowiadać, masz do tego całkowite prawo – powiedział cicho Kord – ale do cholery powiedz nam, chociaż jak się nazywasz. Znamy się już pięć dni, a ciągle nie wiemy, jak masz na imię.

To zabolalo. Nigdy nie miała imienia. Zawsze zazdrościła ludziom przywileju posiadania czegoś tak prywatnego, jak własne imię. Rozmyślając, przyjrzała się nowo zdobytym kartom. Były równie beznadziejne, jak pozostale. Klnąc w myślach, doznała ośnienia.

— Wiem! – krzyknęła, rozpromieniając się – nadajcie mi jakies imię!

Bracia spojrzeli z niedowierzaniem na rozradowaną twarz siedzącej przed nimi kobiety. Jej wyraz nie pozostawiał wątpliwości, że mówiła serio.

— Ale dla... – zaczął jeden z nich, lecz urwał w pół słowa, czując na sobie jej pełen nadziei wzrok. Westchnął cicho – dobra, daj nam chwilę.

Obaj strażnicy wstali i powoli wyszli z celi. Choć dano się słyszeć ich przyciszone szepty, postanowiła nie podслуchiwać. Gdy po dłuższym czasie wrócili, wyglądali na lekko zmieszanych.

— Trochę się posprzeczaaliśmy – zaczął Bartok.

— I mamy parę propozycji – dokończył jego brat.

Kobieta lekko przekrzywiła głowę. Miała nadzieję, że będą mieli jedną gotową odpowiedź.

— Młokosz¹ – zaczął cicho Kord.

Szykował się długi wieczór.

— Widzisz, mówilem ci – powiedział drugi brat, widząc jej skrzywioną twarz – brzmi za swojsko, kompletnie nie pasuje.

— Do brze, to w takim razie Dudula² – zaproponował ponownie.

Bardzo długi wieczór.

— Chyba zwarłowałeś! – krzyknął Bartok, wymachując rękoma – Powiesiłbyś się, mając takie imię. Ludzie braliby mnie za jakęś dzikuskę biegnącą nago³ po polu!

Fascynował ją fakt, że nikt nie pytał jej o zdanie. Kłócili się w najlepsze pomiędzy sobą, kompletnie ignorując jej obecność. No cóż, co było robić. Wzdychając, ponownie oparła się o ścianę.

— No to Nefredytia⁴ – rzucił zdenerwowany już Kord.

Nastąpiła kłopotliwa cisza. Obaj bracia patrzyli się na siebie, mordując się wzajemnie wzrokiem. Biorąc pod uwagę ich różnice we wroście, wyglądało to co najmniej śmiesznie. Ulegając nagłemu oświeceniu, przypomnieli sobie o obecności trzeciej osoby. Synchronicznie obrócili głowy i spojrzeli na jej twarz.

— Nie. – stwierdzili zgodnie.

— Nefredytia sugeruje, abyscie wyszli na zewnątrz i nie wracali bez sensownej propozycji – zaproponowała, uśmiechając się przy tym promiennie.

Obaj bracia kiwnęli głową na znak zrozumienia i pośpiesznie opuścili celę. Ponownie dano się słyszeć odległą dyskusję. Tym razem odeszli na tyle daleko by nie była w stanie rozróżnić poszczególńych słów. Nie mając nic lepszego do roboty, przysunęła się do okna. Zalany wodą plac był całkowicie pusty. Przygotowany z myślą o niej stos rozpadł się już parę dni temu. Teraz był nieforemną kupą drewna z przekrzywionym palen pośrodku. Jej znużone oczy wychwyciły sylwetkę przebiegającego szybko z drzwi do drzwi człowieka. Simutno było patrzeć na pogrążone w melancholii niasto. Spoglądając na ten smutny widok, podjęła pewną decyzję, decyzję, którą odwlekała już od jakiegoś czasu. Choć zwykły człowiek nie był w stanie tego zauważyć, momentalnie lekko zmieniło się ciśnienie powietrza. Niektóre wiatry zmieniły kierunek, część cłnnur zatrzymało się w swojej wędrówce przez niebo. I choć nadal padało i zwykły człowiek nie zauważyłby w pogodzie najmniejszej różnicy, wielodniowe deszcze wreszcie zminęły ku swemu końcu.

* * *

— Nefredytta czeka na rozsądne propozycje – powiedziała słodko, patrząc się na

¹ bogini pantoonu słowiańskiego, według części badaczy bogini deszczu, mokrej pogody i burzy.

² również słowiańska bogini deszczu

³ słowiański obrządek sprawadzania deszczu. Nasza kultura jest piękna, prawda?

⁴ w mitologii egipskiej bogini śmierci, żona Seta, boga burzy

można było jeszcze zrobić. Postanowiła się poddać.

— Panie Ewald? – krzyknęła.

Wisiła tak ponad godzinę. Wołała co jakiś czas imię najemnika, licząc na to, że w końcu się zjawi. I rzeczywiście, w końcu się zjawił. Powoli odłożył na ziemię przewieszzonego przez ramię królika, po czym przykucał przy jej obróconej do góry nogami głowie. Jego twarz, choć pokryta paroma różnorakiej wielkości bliznami, wyglądała.. normalnie. Freja sama nie wiedziała, czego się spodziewała. W każdym razie ujrzała zwyczajnego podstarzałego mężczyznę o zauważalne podkrążonych oczach i z krótko przyciętą brodą. Ten najpierw spojrzał jej w oczy, po czym wznął do rąk leżącą na ziemi sakwę. Nie znalazł w niej jednak nic poza starą suknią. Podniósł więc leżący obok nóż i usiadł ciężko na pielnku. Freja westchnęła cicho z zazdrości. Mężczyzna najwyraźniej nie miał zamiaru się odzywać. Zaczęła więc szybko szukać odpowiednich do zaistniałej sytuacji słów.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie mam pojęcia, co powinienam teraz powiedzieć – powiedziała szczerze – wiszę tu od dobrej chwili głową w dół, a to nie wspiera wylewnej elokwencji.

Przez chwilę obawiała się, że starzec wstanie z pielnika i sobie pójdzie. Podszedł jednak do niej i raniemieniem przycisnął ją w tali. Drugą ręką poluzował pętlę i powoli postawił kobietę na ziemi. Pomógł jej nawet zachować równowagę. Oddał jej nóż, podniósł królika i bez słowa odeszedł w swoją stronę. Gdy Freji przestało się wreszcie kręcić w głowie, już go nie było.

* * *

Sulin siedział w samotności przy jednym ze stołków. Wpatrywał się w kawałek kartki zapisany nutami. W drzwiach pojawiła się Freja.

— Gdzie byłeś? – zapytał, nie odwracając głowy – przegapiłeś obiad. Cymir był wściekły, musiałem wysłuchać jego moralizującego wykładu na temat moralności.

— Przepraszam, utkwiałam na parę godzin w lesie – odpowiedziała.

Muzyk rzucił okiem na podchodzącą ku niemu kobietę i westchnął cicho. Zastanowił się, czy chciał znać szczegóły.

— Cymir odłożył ci swoją porcję gdzieś pod...

— Wpadłam w sidła i wisiłam, sama nie wiem jak długo, z głową skierowaną ku ziemi – powiedziała, przerywając mu wpół zdania – niezbyt przyjemne przeżycie, boli mnie noga i ledwo tu doszłam.

Rzeczywiście, lekko kuląta. Zmęczona usiadła na stojącym obok niego krześle. Zdjęła jednego buta i wysunęła na bok nogę, pokazując mu zdatną wokół kostki skórę. Sulin skrzywił się lekko. Wyglądało bolesne.

— Współczuję, ale schowaj nogę, bo nie wytrzymam psychicznie kolejnej gadki naszego uczynnego gospodarza. Lepiej przyniosę ci jedzenie.

Wstał i wyszedł na chwilę za zaplecze. Gdy wrócił z miską wypelnioną zimną kaszą, Freja trzymała przed oczyma jedną z jego karetek.

— „*Z Rewy plagi miasto, z domów pustych wyrosta, żywe dziecko jedynę, tracąc serce matczyne.*” – przeczytała – ładnie, ale nuty niestety nic mi nie mówią. Zaspiewasz mi to?

Sulin przeklął brzydko w myślach. Oczywiście, że przeżywała jego bagroty, czemu miałaby ich nie przeżyć? Zamącała mu w głowie jakąś raną, kostką i całkowicie o nich zapomniał. Co zrobić. Zaspiewał. Najwyraźniej ciut za głośno, bo słowa doszły

żarem wypełnionej torby. Wracam na ulicę i ruszam przed siebie. Wkraczam do innej dzielnicy, cienniejszej, brudniejszej i biedniejszej dzielnicy. Tu ludzie nie leżą już tylko pod murami, ale też i na środku drogi. Przyśpieszam, czując zbierające się w oczach łzy. Po chwili zaczynam biec. Zatrzymuję się dopiero przed malutkim drewnianym domem, ciasno wciśniętym pośród innych mu podobnych. Wchodzę do środka, mieszkanie nie ma oddzielnych pomieszczeń. Podchodzę do leżącej w kącie na słomianym materacu kobiety. Ocieram łzy i z ulgą kładę na ziemi torbę. „*Matko, przyniosłam ci wody*”. Słyszę własne słowa, gasnące w głuchej ciszy. „*Znalazłam też jabłko*”. Słyszę narastające w nich przerażenie. „*Mamo...*” Czuję własny wzrok spoczywający na szeroko otwartych oczach kobiety. Ostrożnie przykładam ucho do jej piersi. Cisza. Tego, co czuję nie potrafię opisać słowami. Potrafię za to opisać krzyk. Krzyk, który wprawia martwe miasto w leniwe drgania. Jest to mój krzyk, wydobyty z mojego małego gardła. Krzyk niosący sobą wyrwane siłą resztki ludzkiej nadziei.

Freja zamilkła, kończąc opis fragmentu wspomnień. Kosztował on ją sporo energii. Pomimo prób utrzymywania dystansu, czuła jak jej emocje mieszały się z emocjami nieistniejącej już dziewczynki.

— Przepraszam – powiedziała, oddychając płytko – to nie był dobry pomysł.

Sulim wiele chciał w tym momencie powiedzieć, chciał też milczeć. Cześć jego jestestwa krzyczała, część chciała zapomnieć, co usłyszała, część analizowała, zapamiętywała i segregowała posłyszane informacje. Ta ostanía powiązała nowe fakty ze starymi faktami i wywnioskowała z nich jeszcze nowsze fakty.

— Siedemnaście lat temu – zdziwiony, usłyszał swój własny głos – przez okolice przeszła plaga. Najbardziej dotknięte było miasto Rewa. Podobno nikt nie przeżył. Z tego, co mi wiadomo, miasto zostało miano przekłętą i ciągle jest opuszczone.

Milczeli przez dłuższą chwilę.

— Dziękuję – powiedziała cicho Freja – dałeś mi pierwszy dotykalny punkt zaczepienia mojej osoby w przeszłości.

* * *

Freja zatrzymała się jakieś pół godziny drogi od wioski. Szła wzdłuż koryta rzeki, uważając, by nie zniszczyć sukni. Przyglądała się powoli płynącej wodzie. Nie wydawała się specjalnie głęboka, nurt też nie sprawiał wrażenia silnego. Zanurzyła w niej rękę, sprawdzając temperaturę. Westchnęła cicho i ściągnęła z pleców małą sakwę. Wyjęła ze środka spodnie. Przebrała się i zaczęła biec powolnym truchtem. Od przyjazdu do wioski zdążyły już minąć cztery dni. Czas ten poświęciła głównie spaniu i jedzeniu. Odszykała dzięki temu część sił. Krótki bieg ciągle jednak sprawiał jej trudność. Po paru minutach odpoczęła chwilę przy prowizorycznej kładce położonej w poprzek rzeki. Postanawiając dla odmiany wrócić przeciwniegiem brzegiem, przeszła na drugą stronę rzeki. Na zmianę szła i biegła, starając się nie zatrzymywać. Będąc już niedaleko mostu w wiosce, skrzyła w las, chcąc odpocząć i ponownie się przebrać przed powrotem. Po chwili spaceru znalazła obiecująco wyglądający pień. Nie udało się jej jednak na nim uśiąść. Coś gwałtownie nią szarpnęło, ciągnąc do góry. Zawisła kawałek nad ziemią, z liną zacisniętą wokół kostki. No tak, była niedaleko chatki staroego najemnika a on, jak sama zauważyła, mieszał sam i podobno miał wór złota. Westchnęła, sięgając za koszulę. Niestety nóż leżał na ziemi, skutecznie poza zasięgiem jej ręki. Przekłęta brzydka, zastanawiając się, co

stojących przed nią sztywno braci. Nie było ich ponad godzinę i wyglądali jakby przez tę godzinę byli zmuszani do ciężkich prac fizycznych.

— Indra¹ – zaczął tym razem Bartok.

— Co? – krzyknął jego brat – przecież mówiłem ci, że to męskie imię!

— A twoje Saći Dewi² niby lepsze? Spróbuj wyjść na ulicę i powiedzieć „*Dzień dobry nazywam się Saći Dewi*”. Ludzie pomysłiliby, że jesteś jakimś wielookim potworem!

— Przynajmniej nikt nie wzięby mnie za mężczyznę!

Przyglądała się ich kłótni z niedowierzaniem, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy też płakać.

— Naprawdę – przerwała im – co robiliście przez ostatnią godzinę?

Obaj bracia spojrzeli na siebie speszzeni. Odwrócili się do niej plecami i nachyli ku sobie głowy.

— Ustalmy szybko coś normalnego, bo nas zaraz zje, wiedźma jedna – szepnął Kord.

Słyszała ich doskonale, ale nie miała nawet siły o tym wspominać.

— To może Frigg³?

— Podobna mi się ten barbarzyński akcent. Doskonale pasuje do jej charakteru, ale Frigg trochę za topornie brzmi, nie uważasz?

— Masz rację... to jak nie Frigg to Freja⁴!

Obaj zgodnie kiwnęli głowami i szybko odwrócili się ku kobiecie, której właśnie mieli nadać imię.

— Tak więc nazywamy cię Freja! – powiedzieli razem.

Freja przez chwilę siedziała nieruchomo, przetwarzając, co właśnie usłyszała. Nagle, na tyle ile to było możliwe, podskoczyła i uściskała serdecznie obu strażników.

— Rozumiem, że ci się podoba – wydusił z siebie lekko zaskoczony Kord.

— Podobna się, podoba – powiedziała ze szczerym wzruszeniem – naprawdę się podoba.

— No to nasza Frejo skończmy z tymi czułościami i dokończmy rozpoczętą partię – dodał Bartok.

Kiwnęła głową i puściła ich. Miała własne prywatne imię. Nikt nie mógł jej go zabrać czy odebrać. Świadomość tego prostego faktu przepełniła ją radością. W jednej chwili jej krótka zabawa w człowieka, która niebawem miała się skończyć, nabrała sensu.

* * *

Na czystym po raz pierwszy od dłuższego czasu niebie świeciły jasno gwiazdy. Przeglądała się im, leżąc na chłodnych kamieniach ciasnej celi. Westchnęła cicho. Więc tak wyglądała jej ostatnia noc przed egzekucją. Tępo wpatrując się w świetliste punkty, starała się określić stan, w którym się znajdowała. Strach? Nie, przecież nie miała się czego bać, bardziej smutek. Głupio było, tak ginąć, zaraz po tym, jak zyskało się imię. Niestety z sytuacji, w której się znalazła, nie było żadnego wyjścia.

¹ w mitologii indyjskiej jeden z najważniejszych bóstw. Między innymi władał deszczem, burzą, błyskawicą i gromem oraz zsyłał życiodajne deszcze.

² małżonka Indry. Piękna bogini gniewu i zazdrości o tysiącu oczu.

³ nordycka patronka małżeństw, bogini deszczu i żoną Odyna.

⁴ w mitologii nordyckiej bogini płodności, miłości, wegetacji oraz magii. W niektórych rejonach utożsamiana z Frigg.

Tak, bezradność też była dobrym słowem. Gdyby chociaż wiedziała, dlaczego miała zginąć, może mogłaby próbować negocjować. Ponownie westchnęła i powoli zamknęła oczy. Było trzeba się przecieżyć przed egzekucją. Będąc już na granicy snu, usłyszała swoje imię. Uśmiechnęła się lekko, rozmyślając nad tym, jak ładnie ono brzmi.

—Freja, na miłość boską, wstawaj!

Powtórzony szept ocucił jej umysł. Gwałtownie otworzyła oczy i wytykając wzrok, spojrzała przed siebie. Przebijając ciemność, ujrzała pochylającą się nad nią postać Bartoka.

— Do brze, spójrz mi w oczy – mammy jakieś pięć minut, zanim moją nieobecność stranie się podejrzana, więc słuchaj uważnie i nie przerywaj – zamilkł, oczekując jej reakcji.

Freja, choć mocno zdziwiona, kiwnęła lekko głową na znak zrozumienia. Strażnik widząc to, natychmiast zaczął rozpinąć koszulę.

— Dzisiaj będą jeszcze dwa obchody – kontynuował cicho – następny będzie za jakieś dwie godziny. Straznik przejdzie tylko raz, najprawdopodobniej bez pochodni, więc musicz uważnie nasłuchiwać.

Nie przerywając, rzucił na ziemię zdjęcie ubranie i zabrał się za rozpinanie spodni. Freja, ciągle leżąc w bezruchu, przyglądała się mu, starając się zorientować, co się dzieje. Nagle zorientowała się, że Bartok pod zdjęciem mundurem ma drugi taki sam.

— Gdy umilkną jego kroki, odczekaj dla pewności parę minut i przemieść się do celi obok pozostawiając drzwi od swojej szeroko otwarte – mówił, patrząc się jej w oczy – Podczas drugiego obchodu rozpęta się prawdziwe piekło – położył przed nią spodnie i zaczął zdejmować buty – ty je jednak spokojnie przeczekasz, podczas gdy straż będzie przez całątą noc ciebie szukać w mieście i okolicach. Jutro, gdzieś w środku nocy, ubierz moje ubrania i spokojnie opuść więzie. Jak do brzo pojedzie, to nikt nie będzie próbował wyjścia, a nawet jak już będzie, to weźmie cię za strażnika. W końcu wszyscy będą koszmarnie niewypań.

Freja w końcu pojechała, o czym mówił Bartok. Nie rozumiała jednak dlaczego to robił. Ciągłe nie ruszając się z miejsca, patrzyła, jak odkłada zdjęte buty. Stał teraz bosy, podnosząc na zmianę nieprzyzwyczajone do chłodu stopy.

— Nieśtey nie uniem założyć dwóch par butów – powiedział, widząc jej wzrok spoczywający na swoich nogach – ale nie martw się, drugie czekają na mnie schowane parę metrów od więzienia.

Rzyżkowała posadę, może nawet życie dla niej, kompletnie nieznanej mu osoby. Osoby będącej więźniem, wiedzącą osoby, której nawet nie znał imienia, a raczej nie wiedziała, że takowego dotąd nie posiadała. Chciała zadać mu dziesiątki pytań, ten jednak nie dał jej do tego okazji, kontynuując swój monolog.

—Będąc już na dole, skieruj się w stronę resztek stołu. Omni go i idąc cały czas prosto, skreśl w pierwszą, a naję w lewo. Na jej końcu będzie czekała na ciebie osoba, która poprowadzi cię dalej. My się już pewnie nie zobaczymy, ale cóż, życie dzienne bywa – przewalał, by nabrać powietrza – powołania i żegnaj Frejo, Korol pozdrawia. Obaj stwierdziliśmy, że głucho tak pozwolić przyjacielowi bezsensownie umrzeć.

Uklonił się lekko, po czym obrócił się i szybkim krokiem wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zgryztał zamek, lecz sąsiedniej celi. Zadowolony z siebie zaczął schodzić w dół schodami, pozostawiając za sobą ciągle trwającą w bezruchu Freję. Niestety nie mógł zobaczyć pojedynczej łzy spływającej po jej policzku. Ktoś nazwał

tylko prostym muzykiem, uczącym się pół życia jak słowami zarabiać pieniądze.

— A ty, w jakim wieku opuściłaś swój dom? — zapytał się ostrożnie.

Nie odpowiedziała. Zaczął się zastawiać czy zwyyczajnie usnęła, czy raczej nie chciała odpowiadać. Po paru minutach czekania dał za wygraną i zamknął oczy. Z pół snu wyrwał go jej cichy głos.

— Pamiętam setki lat, widzę w nich ludzi, lecz nie widzę żadnych twarzy — wyszeptała — Widzę zdarzenia, lecz nie widzę ich znaczenia, widzę za dużo, by widzieć dokładnie. W tym wszystkim prawdopodobnie spoczywa gdzieś ledwo zauważalna historia mojego pochodzenia. Nie potrafię jej znaleźć. Nie znam jej. Może kiedyś ją znajdą, lecz teraz już nie.

Drwila z niego? Nie, nie brzmiało to jak żart, jej słowa niesły sobą pewną trudną do zdefiniowania melancholię. Zachichotał w myślach. Podróżował z wariatką. Ciekawe czy naprawdę ktokolwiek ją ścigał?

Jest też druga pamięć, pamięć mieniąca się do mnie, lecz jednocześnie moja. Przypomina ona chaotycznie porzucane fragmenty, których kolejność i znaczenia mogą się jedynie domyślać. Widzę ją za to w najdrobniejszych szczegółach. Słyszę rozmowy, odczuwam emocje. Czuję dotyk, czuję ból. Właśnie w niej potrafię odnaleźć krótki, oderwany od reszty kawałek, czegoś to odpowiadający na twoje pytanie. Może być on snem, może być rzetelnym opisem rzeczywistości. Nie wiem tego. Mogę go jedynie opisać tak, jak go postrzegam

Umiłką, usiłując ubrać obce sobie odczucia i obrazy w słowa. Wystarczało
trudno było mówić o własnych wspomnieniach. Zamknęła oczy i w ciszy ułożyła
parę pierwszych zdań. Nie były one idealne oraz brakowało wszystkich pozostałych,
ale i tak rozpoczęła mówić.

— Głód! a i zmęczona powoli idę ulicą miasta. Przez ramię przetrzuconą mam skórzaną torbę. Znam to miasto, znam je bardzo dobrze – ton jej głosu był bezbarwny, starała się raczej opisywać emocje niż wplatać je pomiędzy słowa – znam wszystkie ulice, znam budynki. Jest środek dnia, lecz miasto jest martwe. Jedynym obecnym dźwiękiem są moje rytmiczne kroki. Staram się nie rozglądać, skupiam się na kamiennej ulicy. Czasem mój wzrok zawędruje gdzieś nieproszonej. Widzę wtedy opartych plecami o mury ludzi. Ludzi siedzących w całkowitym bezruchu, z rękami bezwładnie spoczywającymi na ziemi. Ludzi o skórze bladej jak kreda. Staram się o nich nie myśleć, ignorować ich, udawać, że nie istnieją. Nie wychodzi mi to. Przyśpieszam kroku. Po krótkim marszu dochodzę do frontu bogato zdobionego budynku. Podciągam za kłamkę. Drzwi zapraszająco otwierają się, wypuszczając ze środka odrzucający swąd zgnilizny. Cofam się gwałtownie, rozważając czy nie odejść. Po krótkie chwili zastanawianiu nos rękawem i przekraczam próg. Nie zwracam uwagi na przepelchione przepychem wnętrza. Wchodzę do pierwszego z brzegu pomieszczenia. Okazuję się ono sypialnią. Na stojącym pośrodku łóżu leży para rozkładających się z wolna ciała. Czując coraz większe mdłości, wybiegam na ulicę. Nie chce wracać do środka. Strach, samotność i zmęczenie miesza się ze sobą. Wygrywa zimna detekminacja. Ponownie zastanawiam twarz rękawem i przechodzę przez próg mieszkani. Tym razem omijam sypialnię, próbując kolejnych pomieszczeń. W końcu znajduję kuchnię. Zdejmuję z ramienia torbę i wypetlami ją pospiesznie jedzeniem. Czerstwy chleb, lekko nadgniłe jabłka, bułdak z wodą, kawałki suszonego mięsa. Wychodzę z powrotem na korytarz, mój wzrok pada na zawieszone na ścianie lustro. Widzę w nim małą, co najwyżej ośmioletnią dziewczynkę. Twarz zakrytą grubą warstwą brudu, włosy krzywo przycięte przy samej głowie. Niewielkie ciało walczące z cie-

się na ciagle rozśpiewanych ludzi. Na szczęście byli zbyt rozbawieni i pijani, by ją zauważyć.

— Sprzedalbyś butelkę tego jabłkowego czegoś? – przekrzywała śpiew, nachylając się najbliżej, jak się tylko dało – jutro zapłace.

Cymiurowi zabrakło słów. To się już nie mieściło w definicji niestosowności. Postanowił jutro poważnie porozmawiać z jej bratem. Zakładając, że naprawdę był jej bratem. Nie odzywając się, wyciągnął butelkę i postawił ją na ladzie. Siegał po szklankę, gdy Freja podziękowała i odeszła z samą butelką. No cóż, przynajmniej nie będzie go budziła w nocy. Minęły jeszcze ze dwie godziny i czas było zamykać. Ostrożnie wyprosił rozbawionych gości. Zajęło to chwilę i nie obeszło się bez użycia uniarkowanej siły, ale w końcu zamknął drzwi za ostatnim osobą. Odwrócił się i zerknął na ciągle siedzącego na krześle muzyka. Ku jego zaskoczeniu, wesoły i śmiejący się cały wieczór bard miał smutną i zrezygnowaną miną. Dwie minuty temu sprawiał wrażenie pijanego, teraz jego spojrzenie było bezwzględnie trzeźwe.

* * *

Widząc konsternację na twarzy karczmarza, Sulim szybko ponownie się uśmiechnął. Wstał z krzesła i powoli opuścił salę, zmierzając do swojej sypialni. Zmęczony po całym wieczorze bawienia ludzi, położył się na swoim pościu. Czasem przerażała go łatwość, z jaką przychodziło mu zdobyć zaufanie ludzi. Większość obecnych w karczmie mężczyzn już widziała w nim serdecznego przyjaciela. Wystarczyło uśmiechnąć się, sprawić wrażenie uważnego słuchacza, zgodzić się z wygłaszanymi przez nich poglądami. W sumie to już nie pamiętał, od kiedy przestało go to bawić. Może nigdy go nie bawiło? Od lat mechanicznie odgrywał swoją rolę, traktując ją jedynie jako sposób zarobienia na chleb. Lubił za to gościć w przydrożnych gospodach, odległych od wszelkich osad ludzkich. Często spotykał w nich nietypowych ludzi opowiadających ciekawe historie. Coś, czego próżno było szukać po wsiach, gdzie światopogląd ludzi najczęściej kończył się wraz z ich wioską.

— Od dawna wędrujesz? – zapytał go cichy głos.

Sulim odwrócił głowę w stronę leżącej obok kobiety. Było za ciemno, by ujrzeć cokolwiek poza czarną plamą. Obudził ją? Może znowu nie mogła zasnąć? Postanowił po prostu odpowiedzieć.

— Od ukończenia dwunastego roku życia. Matka przekonała pewnego przechodzącego przez miasto muzyka, że mam godny zachodu talent. Zabrał mnie ze sobą w świat.

— Matka oddała własne dziecko niemajomemu?

Sulim uśmiechnął się kwaśno. Czemu miał jej opowiadać o sobie? Sam nie wiedział o niej nic.

— Byłem czwartym synem kowala bez krzty zacięcia ku pracy w kuźni – powiedział mimo wszystko – moja matka kochała muzykę i szybko zauważyła mój talent. Długo szukała dla mnie nauczyciela i nie wybrzydziała, gdy w końcu go znalazła.

W rzeczywistości o cadości zaważył jeszcze jeden czynnik. Ojciec Sulima zaczynał w tym okresie coraz więcej pić. Matka chciała odsunąć najmłodsze dziecko z zasięgu jego ręki. Wracanie wspomnieniami do tego czasu nie było najprzyjemniejszą rzeczą. Błądząc myślami, Sulim wpadł w senną. Freja milczała, nie zadając kolejnych pytań. Może czekała aż on się o coś zapyta? Może nie? Skąd miał wiedzieć? Był

ją przyjacielem¹.

* * *

Czekanie było katogą. Nastuliwała, siedząc oparta o metalowe drzwi. Na początku obawiała się, że usnie i przegapi kluczowy moment, lecz serce podskakiwało jej do gardła przy każdym, nawet najcichszym, dźwięku. Dłużąc się czas wypiechała analizując plan ucieczki. Nie był specjalnie wyrafinowany, wręcz prosty i niewymagający od niej specjalnego wysiłku, ale w swojej prostocie genialny. Bracia wyraźnie marnowali się w straży. Uśmiechnęła się szeroko, po raz kolejny oczyma wyobraźni widząc siebie wychodzącą z przekłębego więzienia. Wyo braziła sobie podskakującego z irytacji Mauricio. Nienawisć była pięknym uczuciem. Nagle otaczając ją ciszę zakłóciły ciche kroki. Strażnik był dopiero parę pięter niżej, a jej serce już było szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Uspokoila się, biorąc parę głębokich oddechów. Po chwili rozszalały rytm serca spowolnił i skupiając się na kojącym chłodzie metalowych drzwi, wsłuchiwała się w rozbrzmiewające kroki. Strażnik minął jej celę i przeszedł dalej. Sthumiła w sobie nagłą chęć wyskoczenia na zewnątrz i czekała dalej. Gdy otaczając ją świat ponownie pogrążył się w ciszy, ciągle siedząc, nacisnęła z całej siły plecami o drzwi. Niedawno snarowane zawiąsy bezgłośnie obróciły się i Freja bezwładnie poleciała do tyłu, uderzając głową o ziemię. Powoli otworzyła oczy i spojrzała przed siebie. Ujrzała sufit korytarza, dużo wyższy od tego w celi. Miała ochotę się rozplakać, lecz zgrabnie wstała, prostując plecy po raz pierwszy od wielu dni. Rozglądnęła się po wygiętym w szeroki łuk korytarzu. W zasięgu wzroku miała pięć zamkniętych celi. Podeszła do drzwi po lewej i z całej siły pociągnęła za okragła kłankę. Przed nią otworem stanęła bliźniacza cela z takim samym okienkiem i takim samym metalowym wiaderkiem stojącym w kącie. Westchnęła cicho. Było chociaż puste. Nie tracąc więcej czasu, przeniosła mundur do nowego pomieszczenia. Chciała już zamknąć drzwi, gdy wpadła na pewien zabawny pomysł. Szybkiem krokiem wróciła do starej celi i zdjęła z siebie swój znienawidzony fartuch więzienny. Rozciągnęła go na środku pomieszczenia i chichocząc, wróciła naga do swojej nowej kwatery. Niestety zamknięcie drzwi od środka okazało się znacznie trudniejsze. Nie było za co ich złapać. Po długich minutach wypychania palców pod próg w końcu się jej to udało. Wykończona psychicznie i fizycznie położyła się na plecach i usnęła. Z twardego snu nie wyrwało jej nawet siarczyste przekleństwo strażnika, rzucone, gdy znalazł pozostawione przez nią ubranie w szeroko otwartej celi.

* * *

Wielki Królewski inkwizytor wstał z szampańskim humorem. Wreszcie nie padało! Nareszcie miały się skończyć nieustanne pretensje plebsu, nareszcie mógł spalić tę irytującą kobietę. Jak ktokolwiek śmiał nazywać go małym brzydkim człowiekiem? Miał właśnie wyjść na obfite śniadanie. Gdy rozległo się pukanie. Mauricio skrzywił się gwałtownie. Nagle przez jego umysł przeszła pewna przerażająca myśl.

— Młodszy sierzant Szprota? – zapytał głośno, by usłyszano go zza drzwi.

— Ekhn, tak wasza Ekscelecencjo – odpowiedział cichy głos z zewnątrz.

— Nie przychodisz przypadkiem przekazać mi jakis złych wieści – kontynuował – Na przykład, że pewna nadzwyczaj groźna wiedźma, z powodu której od tygodnia

¹ autor przypominia – friendship is magic

nie dano się prowadzić handlu, powiedzmy, uciekła?

— Eee, nie wasze Eksceleńco – Szprota odpowiedział drżącym głosem – raczej rozplynęła się w powietrzu. Znaleźliśmy tylko jej ubrania leżące schłodnie rozciągnięte w celi – przewał, gdyż za drzwiami rozbrzmiało głośne uderzenie – naturalnie szukaliśmy jej całą noc, lecz do tej chwili nie znaleźliśmy nawet najmniejszego śladu.

— Szprota! – wydobywający się z zamkniętego pomieszczenia głos ociekał mor- dem.

— Tak, wasza Ekse...

— Dobrze ci radę, nie pokazuj mi się dziś na oczy, bo skończysz na jej stosie – młodszy sierżant nawet przez drzwi czuł na sobie złowrogą wzrok inkwizytora – i nie mów „*Tak wasza Eksceleńco*” tym swoim irytującym głosikiem, tylko idź stąd w cholerę.

Mauricio stał szeroko na nogach, oddychając gwałtownie. Spojrzał na ścianę, w którą przed chwilą rzucił swoim ulubionym złotym kałamarzem. Obraz, w który trafił, nadawał się do wyrzucenia. Namalowana na nim postać zamiast głowy miała teraz czarną plamę. Na leżący na ziemi pokrzywiony kałamarz nawet nie chciał patrzeć.

— Niech ją szlag jasny trafi – krzyknął z całej siły, na tyle głośno, że oddalający się pośpieszne Szprota zdążył to jeszcze usłyszeć.

Najpietw niekończący się deszcz, który nie pozwalała mu jej zgodnie ze sztuką spa- lić. Gdy wreszcie postanawia ją po prostu ściąć, to przestaje padać, a ona dosłownie rozplywa się w powietrzu. Dałby sobie głowę uciąć, że ubranie została na ziemi tylko po to, by go jeszcze bardziej zdenerwować.

— Znajdę cię głupia wiedźmo, słyszysz mnie? – krzyknął do otaczającej go pustki – choćby miało mi to zająć lata, choćbym miał stracić posadę, plemię i życie, znajdę cię ty... ty sekutnico jedna!

Powoli zaczął wierzyć w to, że ta kobieta naprawdę była wiedźmą. On, Wielki Królewski Inkwizytor, wierzący w wiedźmy? Ta myśl wyjątkowo go przerażała, co tylko jeszcze bardziej podsycało jego gniew. Oddychając ciężko, usiadł na swoim fotelu. Otarł rękawem pot z czoła i spróbował się uspokoić. Choć jeszcze sobie z te- go nie zdawał sprawy, gdzieś pośrodku gniewu i strachu zrodziło się jeszcze jedno uczucie. Był ciekawy, chorobliwie ciekawy czy w końcu, po wielu latach zakłamej pracy inkwizytora, naprawdę udało mu się znaleźć wiedźnę. Podczas wykrywania kolejnych przekleństw powoli rodziły się w nim pytania. Kim naprawdę była? Co potrafiła? Skąd przybyła? Jednak chwilowo dominowała w nim prymitywna chęć znalezienia jej i spalenia na największym stosie, jaki zdoła własnoręcznie zbudować.

* * *

Bała się otworzyć oczy. Teraz gdy się nad tym zastanowiła, to położenie się nago na kamienach, było wyjątkowo złym pomysłem. Skrzywiła się, czując przeszywające zimno, rozchodzące się po całym ciele. Powoli uniosła plecy i skuliła się, dygocząc. Drżącą ręką chwyciła otrzymaną od Bartoka koszulę i założyła ją na siebie. Choć sucha, niezbyt pomogła. Wykonana z szorstkiego materiału niemiłosiernie gryzła ją w skórę. Złapała więc jeszcze spodnie i paroma szybkimi ruchami ubrała je. Ciągłe dygocząc, uswiadomiła sobie, że nikt jej dzisiaj nie przymiesi ani jedzenia, ani picia. Miała wszystkiego serdecznie dosyć. Przecież mogła wyjść i dać się złapać. Na stosie byłoby chociaż ciepło, a sypiana o ostatnie życie poprosiłaby o jedzenie.

okres. Widząc w swojej córce jedyną pozostałość po ukochanej, poświęcił się jej wy- chowaniu. Uczył ją tego, co sam umiał najlepiej, nie zważając na jej pieć oraz na zwyczaje i tradycje. Tak więc w wieku ośmiu lat wygrywała z każdym dzieckiem w walce na drewniane miecze. Nie wszystkim się to podobało, ale dziewczyna była urocza i wszyscy ją uwielbiali. Pamiętam, jak raz gołymi rękoma powaliła starszego od siebie o dziesięć lat chłopaka. Niestety świat najwyraźniej nienawidził Ewaldą i jego rodziny. W wieku dwunastu lat dostała gorączki i po paru dniach zmarła. Po pogrzebanu jej obok żony Ewald zniknął z wioski. Wszyscy pomyśleli, że skoczył z przepaści albo powiesił się gdzieś na jakimś anonimowym drzewie. Najwyraźniej wszyscy się mylili, gdyż po dziesięciu latach powrócił, z całą gamą świętych blizn oraz ze sporym mieszkaniem złota. Podobno przez te dziesięć lat ponownie oddał się swojemu fachu i chcąc zginać, brał najgorsze i najmniebezpieczniejsze zlecenia. Jak było naprawdę, nikt tego nie wie. On sam nigdy nikomu nic nie powiedział. Wybu- dował mały dom odseparowany od reszty ludzi i zaszył się w nim. Było to siedem lat temu i od tego czasu praktycznie nikt z nim nie rozmawiał. Oczywiście często przechodzi na drugą część rzeki, by kupić niezbędne do życia towary, ale nikomu nie udało się z nim jak dotąd zamienić więcej niż trzy słowa. Dalszy więc mu żyć w spokoju, acz zawsze ktoś panieła, by coś podożyć na grobach jego zmarłej rodziny. Kto wie, może kiedyś pogodzi się z ich stratą, wejdzie do mojej karczmy i zamówi piwo?

Karczmarz skończył mówić i spojrzał wymownie na Freję, oczekując jej reakcji.

— Naprawdę po tylu latach nadal dbacie o groby rodziny człowieka, który prak- tycznie się od was odciał? – zapytała – to naprawdę wzruszające.

Karczmarz zaśmiał się nerwowo.

— I nikt nie próbował go okraść? – kontynuowała – Przecież podobno jest stary, przywiózł ze sobą wór złota i mieszka sam w odseparowanym od reszty domu – spoj- rzęła na twarz karczmarza i czując pogarszającą się atmosferę, szybko się opanowała – przepraszam, to było niegrzeczne z mojej strony. Dziękuję za podzielenie się ze mną tą ciekawą, wzruszającą i niewątpliwie prawdziwą historią.

Dalsza rozmowa jednak nie chciała się już kleić. Karczmarz jeszcze przez dłuż- szy czas wpatrywał się w siedzącą przed nim kobietę. Choć miała na sobie ubrania jego żony, nie przypominała mu jej nawet w najmniejszym stopniu. Jego małżonka chodząca zawsze wyprostowana, ze starannie zaplecionym blond warkoczem. Dbała, by ku wszystkim zwracać się ze serdecznym uśmiechem. W towarzystwie niezna- jomych przyjmowała maskę spokoju. Natomiast Freja? Zmudzona, wodziła palcem po odrobnie rozlanego na ładzie piwa. Sama ta czynność przeczyła wszystkim, czym była jego małżonka. Westchnął cicho, przyglądając się jej luźno opadającym włosom. Wyglądały, jakby nigdy nie przyszło jej do głowy, że można by je ułożyć albo chociaż uczesać. Wpatrując się w nią tępo, poczuł się nieswojo. Płytkie wymia- ny zdań były fundamentem jego fachu, zmusił się więc do nawązania rozmowy. Niestety kobiety nie były typowymi bywałcami karczmy i nie widział, od czego za- cząć. W końcu jednak udało się mu wybrać odpowiednie blabe pytanie. Otwierał już usta, gdy przerwał mu okrzyk radości zgromadzonych wokół Sulima ludzi. Mocno już podpici, zaczęli jednym głosem śpiewać jakążś znaną wszystkim sprótną piosnkę. Takiego hałasu nie było sensu przekrzykiwać. Zresztą jego niedosza rozmówczyńi właśnie wstawiała i krzywiąc się, dała znak ręką, że idzie uciec się na spoczynek. Sam nie wiedząc czemu, odczłnął z ulgą, gdy zniknęła za drzwiami. Wróciła jed- nak po paru minutach, ku jego przerażeniu w koszuli nocnej. Szybko ogładnął

czekając na odpowiedź, szybko dodał – Odzyskałaś kolory na twarzy i nawet lekko się uśmiechasz. Wypałaś się wreszcie? Lepiej się czujesz?

Freja kiwnęła głową.

— A koszmary? Ciągłe dręczą cię koszmary? – kontynuował.

Zamyśliła się na chwilę. Gdzieś z odstawionych chwilowo na bok mętnych wspomnień sączyła się groza. Wiedziała, że wkrótce będzie musiała spojrzeć w tamtym kierunku, ale nie miała zamiaru ani ochoty robić tego teraz. Wzięła parę głębszych oddechów.

— Drażliwy temat, rozumiem – powiedział, wzdychając – grunt, że czujesz się lepiej niż wczoraj.

— Co teraz? – zapytała, starając ponownie się uśmiechnąć – Co będziesz tu robić przez te dni?

— Powiedzieliśmy, że zostaniemy tu, aż odzyskasz siły. Proponuję, byś właśnie na tym się skupiła. Jedz dużo, śpij dużo, pobiegaj po lesie, poćwicz coś. Owszem, wyglądasz lepiej, ale do tryskania energią ci jeszcze daleko.

— A ty? – zapytała.

— To, co bardziej zazwyczaj robisz – odparł, wruszając ramionami – wieczorami będę bawił ludzi, za dnia pisał piosenki i czarował młode dziewczyny.

Brzmiało sensownie. Położyła się na rozgrzanej słońcem trawie i zamknęła oczy.

* * *

Zbliżał się wieczór. Freja siedziała przy ladzie karczyny i przyglądała się jak Cymir, bo tak najwyraźniej miał na imię karczmarz, nalewał piwa. Znużona do szpiku kości, zabijała czas, pomagając mu nosić trunki. Odrzuciła głowę i zerknęła na mały tłumek ściśnięty wokół jednego ze stolików. W samym jego centrum siedział Sulim. Od ponad godziny nieprzerwanie opowiadał różne wątpliwej jakości historie.

— Ktoś mieszka po drugiej stronie rzeki? – zapytała nagle.

— Owszem, stary Ewald. Czasem można go zobaczyć siedzącego na ławie przy samym skraju lasu. Jednak nigdy nie przychodzi do wioski.

— Brzmi ciekawie, opowiedz mi o nim?

Cymir bez słowa dokończył napełniać kufel i odstawił go na stole. Westchnął cicho i spojrzął na Freję.

— Długo by mówić... chce ci się słuchać? – widząc, jak kobieta entuzjastycznie kiwa głową, kontynuował – Podobno ma ponad sześćdziesiąt lat, ale tak naprawdę nikt tego nie wie. Mówi się, że za młodu był najemnikiem, bardzo droгим i bardzo dobrym najemnikiem, zatrudnianym przez najbogatszych ludzi. Jak to zwykle bywa, podczas jednej ze swoich przygód spotkał pewną kobietę, w której oczywiście natychmiast się zakochał. Jedni gadają, że była córką wpływowego kupca, inni, że krwiożerczą hersztynią¹ bandytów, jeszcze inni, że jedną z klientek, chcącą zapewnić sobie bezpieczną podróż. W każdym razie Ewald rzucił swój fach i za ubierane przez lata pieniądze kupił tutaj spory kawał ziemi. Zamieszkał na nim ze swoją wybranką. Było to ze trzydzieści lat temu. Byłem wtedy jeszcze dzieciakiem, ale ciągle pamiętam, jak wyglądała. Wyższa od ciebie o pół głowy, z ognisto rudymi włosami. Długo jednak nie było dane im być szczęśliwymi. Po roku zmarła przy porodzie, zostawiając swojego męża z nowo narodzoną córką. Mieszkający w pobliżu ludzie wykazali się jednak zrozumieniem i pomogli mu jakoś przebrnąć przez najcięższy

¹ język polski jest szowinistyczną świnia, to słowo oczywiście nie istnieje

Długo jednak nie rozważała tej możliwości. Zrezygnowana schowała głowę w kolana i spróbowała dokładniej otulić się koszulą. Dłużące się godziny były torturą. Choć po pewnym czasie ogrzała się, to ciągle była głodna. Nie byłoby to takie straszne, gdyby miała cokolwiek do roboty. Dla zabicia czasu nie mogła nawet wyglądać przez okno, bała się, że ktoś ją zauważy. Pozostało jej jedynie rozmyślnie o głodzie. Z czasem nawet to okazało się, być nużące i zaczęła poszukiwać innych czynności. Niezwykle fascynujące okazało się na przykład wkładanie i zdejmowanie buta. Co ciekawe miał nawet w miarę odpowiedni rozmiar. Jednak i to się w końcu znudziło, a do nocy ciągle było jeszcze daleko. Położyła się więc na plecach i usiłowała wmówić sobie, że śpi. Po godzinie pogodziła się z porażką i wróciła do zabawy butem. Był wysoki, sznurowany aż po kostkę, na grubej podeszwie. Musiała przyznać, że obuwie strażnicy dostawali porządne. Paroma szybkimi ruchami wywlekła długą czarną sznurowkę. Z zachwytem spoglądała na nową zabawkę. Zawiazała schludną szubienicę i przeprowadziła egzekucję wiadra. Odczytała mu nawet zarzuty. Zawisło głównie za ordynarności. Jednak i to się skończyło i z braku lepszych perspektyw skuliła się i zaczęła cicho płakać. Nie płakała z jakiegoś konkretnego powodu, czy też ze smutku, czy rozpacz. Płakała dla zabicia czasu. Płakała za wiadrem, którego uśmierciła, za butem, którego pozbawiła sznurowki, płakała dla samego płakania. Tak sobie przynajmniej wmawiała. W końcu jej umysł zlitował się nad nią i usnęła.

* * *

Śniły się jej sceny, których nie powinna była znać. Starszy mężczyzna puszczal z nią latawiec, tańczyła na czyimś weselu, leżała na łące wpatrując się w gwiazdy. Ludzie, miejsca i obce emocje. Przed jej oczyma przelatywały fragmenty niestniejących już na tym świecie wspomnień. Nie było jednak w nich żadnego logicznego porządku ani głębszego znaczenia. Jadła obiad, jechała gdzieś konno, kupowała kalarepę na targu. Nagle jednak roznity dotąd obraz nabrał szczegółów. Padalo, a ona biegła przez las. Jej prawa ręka zwiisała bezwładnie wzdłuż boku. Wpatrywała się w powoli opadające z niej krople krwi. Nagle czas spowolnił. Jej ciało wygięło się trafione czymś od tyłu. Usłyszała swój spowolniony krzyk oraz poczuła powoli rozprzestrzeniającą się falę bólu. Trzymany dotąd w lewej ręce przedmiot wyleciał do przodu otoczony leniwie przecinającymi powietrze kropkami krwi i wody. Wykonał dwa obroty wokół swojej osi, po czym zamarł w całkowitym bezruchu. Po sekundzie czas ponownie podążył do przodu i poleciała do przodu, gwałtownie uderzając o ziemię.

* * *

Freja oddychała głęboko, z trudem łapiąc oddech. W jej umyśle ciągle tkwił obraz wiszącego w powietrzu przedmiotu. Tak jak wszystko inne w tym fragmencie snu było ostre, to ten jeden element był całkowicie rozmażany. Usiadła wyprostowana, starając się uspokoić szalejące serce. Na zewnątrz było już ciemno, a ona nie miała pojęcia, która jest godzina. Odgoniła od siebie myśli o śnie i skupiła się na ucieczce. Podczołgała się do drzwi i pchnęła je gwałtownie. Wyszła na korytarz i przeciągnęła się, prostując obolałe kości. Spodnie na szczęście miały pasek, dzięki czemu trzymały się jej wygłodzonego ciała. Gorzej było z koszulą. Dla próby podskoczyła parokrotnie. Nic nie spadło. Zawiazała pośpiesznie wysokie buty i nie chcąc przebywać w przekłętym więzieniu ani chwili dłużej, zamknęła za sobą drzwi. Ruszyła do przodu łukowatym korytarzem. Wszystko ją gryzło i szczypało, lecz dzielnie zigno-

rowała to. Nareszcie zbliżała się ku wolności. Koniec z ciasnymi pomieszczeniami, koniec ze wpatrywaniem się w chłodne mury. Spiralne schody ciągnęły się w dół wieży, co jakiś czas wychodząc na kolejne piętra. Naliczyła ich pięć. Jej cęła znajdowała się na ostatnim. W końcu zeszła na sam dół i ujrzała przed sobą małe drewniane drzwi zki oddzielające ją od świata zewnętrznego. Ostrożnie, jakby ktoś miał ją zaraz zakałować, podeszła do nich. Wyciągnęła drżącą rękę w stronę klaniki, lecz cofnęła ją gwałtownie. Na zewnątrz ktoś mógł być, a ona miała udawać strażnika. Strażnicy nie chodzili skuleni i nie otwierali drzwi drżącymi rękoma. Wyprostowała się dumnie i odważnym ruchem pociągnęła za klanikę. Spokojnym, leniwym nawet krokiem, pokonała próg. Na zewnątrz stała pojedyncza osoba. Freja poczuła, jak ogarnia ją panika. Po krótkiej walce się opamiętała. Przecież była przebrana. Spokojnie spojrzela na stojącą obok niej postać. Poznała sierżanta straży. Patrząc się mu w oczy, zorientowała się, że on też ją poznał.

— O, witam młodszą szeregową Freję – powiedział spokojnie – jak tam obchód? Jakież uciekające widzi?

Zaniemówiła. Nie wiedziała co robić ani co myśleć. Słowa sierżanta były suche, pozbawione jakiegokolwiek emocji. Wy powiedział je całkowicie naturalnie, tak jakby naprawdę była strażniczką i w jej obecności nie było nic dziwnego. Przyglądała się, jak wkłada rękę za koszulę i wyjmując małą księżkę. Silnym, szybkim ruchem złapał Freję za rękę i położył jej ją na dłoni. Ogłupiała kobieta ostrożnie zaciśnęła na otrzymanym przedmiocie palec.

— Tylko nie próbuj chować jej za koszulę – rzucił ostro – w każdym razie nie przede mną.

Sierżant wyprostował się i wrócił do pilnowania wejścia, kończąc tym samym rozmowę. Umysł Frej krzyczał. Nie miała bladego pojęcia, co się właśnie wydarzyło. W porównaniu z sierżantem sen, w którym wyrzuciła przed siebie tajemnicze przedmioty, był najlogiczniejszą rzeczą na świecie. Pchana czystą siłą, woli ruszyła do przodu. Oglądany dotąd z dużej wysokości plac okazał się znacznie mniejszy, niż sobie to wyobrażała. Nie rozglądając się na boki, przyspieszyła kroku i minęła resztki stosu. Za nią znajdowały się dwa duże budynki z wąską, nieoświetloną uliczką pomiędzy nimi. Weszła w nią i stanęła na chwili w miejscu, czekając, aż oczy przywykną jej do mroku. Po paru metrach ujrzała skręt w lewo. Na końcu krótkiej alejki paliła się pojedyncza świeczka. Nie myśląc za wiele, ruszyła w kierunku słabego światła. Zatrzymała się kawałek przed nim, czując czyjaś obecność. Nagle rozległ się stłumiony śmiech.

— Jak ty kochana, jesteś strażnikiem – usłyszała głos z trudem łapiącego powietrze człowieka – to ja, jestem wieloryb! Schowałaś chociaż włosy, już nie wspominając o obwisłych spodniach i za długich rękawach – przerwał, starając się powstrzymać rechot – naprawdę, najzłaśniejsze przebranie, jakie w życiu widziałem. Oj, masz szczęście, że większość straży odsypia wczorajszą noc.

Freja miała ochotę dać mu w twarz. Nie musiał tego aż tak brutalnie ujmować. Już miała zamiar wziąć zannach, gdy stojący przed nią, nieznamy w obronnym geście wyciągnął przed siebie rękę.

— Spokojnie, spokojnie – powiedział, odyskując powoli opamiętanie – już się z ciebie nie śmieję, ale naprawdę, gdybyś siebie teraz zobaczyła... jeszcze ta determinacja w oczach – widząc, że Freja zaczyna powoli szerzyć zęby, urwał swoją wypowiedź – dobrze, dobrze, już się zamykam. Nie stójmy tu dłużej, bo ktoś na nas zwróci uwagę.

— Po pierwsze ta kobieta wczoraj wyglądała, jakby miała zaraz umrzeć. Po drugie rozmawiałem z nią po tym, jak wypita sporo za dużo alkoholu. Mówiła... dziwne rzeczy.

Mężczyzna odebrał gotowy rysunek z rąk karczmarza i schował go w bagażu.

— Wiesz, ja również mówię dziwne rzeczy, jak wypiję za dużo alkoholu – powiedział, uśmiechając się – ale jeżeli dzięki temu poczytasz się lepiej, to popytam się o nich, co mi tam. W sumie to moja wina, sam cię nastraszyłem.

— Dziękuję – odparł karczmarz.

Stał przez chwilę w miejscu, obserwując, jak jego kolega wskakuje na wóz i powoli zaczyna oddalać się od wioski. Przerwała mu Freja, ponownie stając w drzwiach. Skrzywił się, patrząc na nią. Męskie spodnie? Prymitywna skórzana kurtka? Brakowało mu słów.

— Dzień dobry... Frejo? Dobrze pamiętam? – kobieta kiwnęła głową – Nie masz nic innego do ubrania? Cała wioska będzie wytykała cię palcami – zastanowił się chwilę – w sumie to wszyscy będą wytykali cię palcami niezależnie od tego, co będziesz miała na sobie, ale mogą to robić mniej agresywnie.

Freja rozłożyła ręce i przecząco kiwnęła głową, dając znać o ograniczeniach swojej garderoby. Jaka szanująca się kobieta podróżowała bez niczego na zmianę? W sumie tłumaczyło to po trochu, czemu ciągle nie była mężatką. Karczmarz przypomniał sobie o kuftrze z ubraniami żony. Lata po jej śmierci nie czuł już do nich takiego przywiązania, jak kiedyś. Stojąca przed nim kobieta wydawała się mieć odpowiednią posturę. Cóż, lepiej by ktoś jej nosił, niż by gniły w ciemności.

— Choć za mną, może coś dla ciebie znaleźć – powiedział – Nie będziesz przy najmniej swoim wyglądem gorszyła naszej społeczności wiejskiej.

Wygrzebał zakurzoną szarą suknię. O dziwo pasowała na Freję. Jej króć spełniał wszelkie wymagania przyzwoitości oraz nie podważał żadnych norm społecznych. Jednokolorowa suknia była zwyczajnie nudna, nie mając w sobie ani krzty wyrafnowania, ani uroku. Freja, szerze mówiąc, wołała swoje spodnie, ale nie odmówiła i z wdzięcznością przyjęła podarunek. Poprosiła o późne śniadanie i po posiłku, wyszła na zewnątrz poszukać Sulima. Za dnia miała szansę dokładniej przyjrzeć się wiosce. Położona był wzdłuż koryta niewielkiej rzeki. Naliczyła ponad dwadzieścia porożnionych losowo gospodarstw oraz jeden młyn wodny. Czasem jakaś postać przerywała pracę, przyglądając się nieznamemu, ale nikt nie nawiązał z nią rozmowy. Gdy dotarła do skrajnej wioski, jej uwagę zwróciła drewniana ława stojąca po przeciwnej stronie rzeki, zaraz obok dobrze wydeptanej ścieżki wchodzącej w głąb lasu. Siedział na niej starszy mężczyzna, wpatrując się z odali w wioskę. Zadrżała lekko, czując na sobie jego spojrzenie. Uważnie rejestrował każdy jej ruch. Mężczyzna nagle podniósł rękę i wskazał palcem niedaleką polanę. Freja odwróciła głowę we wskazanym kierunku. Od razu rozpoznała leżącą na trawie sylwetkę. Serdecznie kiwnęła głową, dziękując nieznamemu, i ruszyła w stronę Sulima. Leżał na plecach, wpatrując się w trzymaną przed sobą kartkę papieru. Obok niego spoczywał otwarty kahanarz z włożonym piórem.

— Co robisz? – zapytała, stając nad nim.

Sulim oderwał wzrok od kartki i starannie przyjrzał się wiszącej nad nim twarzy. — Usiłuję skomponować jakąś sensowną pieśń. Niestety atrament ciągle śkapije mi na twarz, zamiast zostawać na kartce. Właśnie rozważałem zmianę pozycji ciała. — powoli podniósł się z ziemi i dał znak ręką, by usiadła obok – Karczmarz nie chciał, byś straszyla mu klientów? – zapytał, przyglądając się jej nowej sukni, po czym nie

w ścianę. Śniło się jej coś ważnego. Spróbowała przywołać mętne wspomnienia, lecz po chwili zrezygnowała i postanowiła poszukać karczmarza. Była bowiem straszliwie głodna. Zastawszy karczmę pustą, wyszła na zewnątrz. Karczmarz stał obok naładowanego beczkami wozu i rozmawiał z ubranym po kupiecku mężczyzną. Rozmówcy, słysząc otwierające się drzwi, zamilkli i zwrócili się w jej kierunku. Nieznajomy mężczyzna uśmiechnął się szeroko i szturchnął karczmarza łokciem. Widząc na sobie ich wzrok, Freja szybko uzmysłowiła sobie, że ciągle miała na sobie pożyczoną prowizoryczną koszulę nocną. Szybko zamknęła drzwi i wróciła się przebrać. Dwaj mężczyźni kontynuowali rozmowę.

— No tłumacz się, skąd wziął taką dzierlatkę. Obawiałem się, że już nigdy nie ogłędziesz się za żadną kobietą, a tu proszę.

Karczmarz uśmiechnął się kwaśno.

— Wczoraj wieczorem pojawiła się wraz ze swoim bratem w mojej karczmie. Szukali miejsca na nocleg.

— Przecież nie prowadzisz gospody – roześmiał się mężczyzna.

— Tak też im powiedziałem. Jednak wyglądali jak kupa nieszczęścia, no i zapłatali. Do tego jej brat twierdził, że jest muzykiem. Muzyków w karczmach nigdy za mało.

— Słuchaj, powiedz mi, wydali ci się oni podejrzanii?

Karczmarz zadrdzał, przypominając sobie nocną rozmowę.

— Pod każdym możliwym względem!

Mężczyzna rozejrzał się na boki i zniżył głos, nachylając się do karczmarza.

— Bo wiesz, przypominałem sobie plotki, co słyszałem, jadąc tu z miasta. Podobno niedaleko Złamanej Strażnicy znaleziono martwych strażników miejskich.

— Tej gospody niedaleko miasta?

— Tak, tej. Ludzie gadali, że dzień przed tym, jak ich znaleziono, w gospodzie zaitała trójka podejrzanym ludzi, w tym postrzelona strzałą młoda kobieta – jeszcze bardziej zniżył głos – mówi się, że była to zbiegła inkwizycji wiedźma.

— Daj spokój, nie strasz mnie – zamyślił się na chwilę – masz coś do pisania pod ręką?

— Coś znajdę – mężczyzna zaczął chaotycznie przekopywać znajdujące się na wozie bagaże. W końcu wyciągnął skrawek kartki wraz z kawałkiem węgla. Podał je karczmarzowi.

— Ta dwójka planuje zostać tu przez jakiś czas. Narysuj szybko ich podobizny. Wracając do miasta bądź tak dobry i popytaj się czy ktoś wie, kim są. W żadną widmę tam nie wierzę, ale nie chcę skrywać pod dachem przestępców.

Karczmarz oparł się o wóz i szybko nakreślił kontur dwóch sylwetek. Jedną narysował z lutnią przy pasie, drugą z łukiem na plecach. Następnie skupił się na twarzach. Te wykonał już starannie, dbając o to, by utrwalić wszystkie charakterystyczne cechy.

— Dobry jesteś – stwierdził z podziwem mężczyzna, przyglądając się wylającym się z kartki postaciom.

— Jak dowiesz się o nich czegoś niepokojącego, postaraj się dać mi jakoś znać. Jednak jeżeli to jacyś tam zbiegli kochankowie to się nawet nie kłopotcz.

— Wiesz, nie mówiłem poważnie, powtarzając te plotki. Naprawdę wydają ci się oni aż tak podejrzanii? Zrobili coś?

Karczmarz westchnął cicho. Może rzeczywiście był przewrażliwiony?

Zdmuchnął radośnie skaczący płomyk świeczki i powolnym krokiem ruszył przed siebie.

— No chodźcie kobieto za mną – rzucił, widząc ciągle stojącą w miejscu Freję.

Przez następne minuty pokonywali labirynt pograżonych w całkowitej ciemności ciasnych alejek. W końcu stanęli przed wyjściem na większą, dobrze oświetloną ulicę.

— Poczekaj tutaj. Ta ściana, o którą się teraz opierasz to mój dom. Obok ciebie znajduje się boczne wejście. Wejdę frontem i ci otworzę. Zrozumiałas?

Freja kiwnęła głową i nieznajomy spokojnym krokiem wyszedł na ulicę. Choć nie czekała za długo, czas straszliwie się jej dłużył. Przemęczona nie była w stanie zapanować nad szalejącymi emocjami. Bała się, straszliwie się bała. Pierwszy raz była w mieście. Świadomość otaczających ją ludzi przerażała ją. Choć wiedziała, że to śmieszne nie potrafiła nic z tym zrobić. Do tego coraz bardziej bolała ją głowa. W końcu rozległ się cichy zgrzyt mechanizmu i kawałek muru powoli usunął się w głąb. Mężczyzna, który ostrożnie wyszedł ze środka, zastał Freję leżącą na ziemi, nieprzytomną.

Rozdział II

Miria obserwowała, jak jej mąż wchodzi do salonu z bezwładnym ciałem na rękach. Bez słowa przyglądała się, jak powoli pochyliła się i ostrożnie kładzie je na ziemi. Nie zdziwiła się specjalnie, nie była to najdziwniejsza rzecz, jaką jej mąż przyśnił w nocy do domu.

— Kochanie – zapytała spokojnie – mam poszukać łopaty?

Abner wyprostował się i odechnął głęboko, przecierając pot z czoła. Podszedł do stojącego przy ścianie krzesła i usiadł na nim gwałtownie.

— Zabawne kotku, naprawdę – odparł słodkim głosem.

Oficjalnie Abner wraz z żoną byli szanowanymi kupcami. W rzeczywistości poszczególnie wiadomo było, że sprzedawane przez nich towary pochodzą z przemytu. Wszyscy jednak radośnie korzystali z ich usług, zgodnie przyznając na to oko.

— Pragnęłabym zauważyć, że przyniesiony przez ciebie przedmiot wyjątkowo śmierdzi, a położylesz go na środku salonu – odezwała się Miria po dłuższej chwili przerwy – do tego z niezrozumiałego dla mnie powodu ma na sobie mundur straży.

Małżeństwem byli od trzydziestu lat. Zaczęli jako podrzędni przestępcy, ale ciężką pracą udało im się wzbić na wyżyny czarnego półświata. Dzięki odpowiednim znajomościom zdobyli pozwolenie na otworenie sklepu w dzielnicy handlowej miasta.

— Umyjesz ją? – zapytał z nadzieją w głosie Abner, patrząc na leżące na ziemi nieszczęście.

— Ją? To coś jest płci żeńskiej? – zapytała ze szczerym zdziwieniem w głosie.

— Też cię kocham kotku – odparł Abner – To jak, umyjesz to? – westchnął głęboko, słysząc, co powiedział – To znaczy ją.

Obecnie nikogo nie dziwiło, że zakupiona w ich sklepie zdobiona waza nie miała nigdzie wybitego znaku cechu. Oczywiście zdarzali się ludzie, którym ich działalność wyjątkowo przeszkadzała. Tacy ludzie jednak szybko odkrywali, że większość urzędników miejskich była regularnie opłacana hojnymi darowiznami, a straż co roku zamawiała u Abnera broń i mundurzy po wyjątkowo okazjnych cenach. Miria wstała z fotela i podeszła do leżącej na ziemi Frei. Przyglądała się jej z każdej strony, krzywiąc się przy tym teatralnie.

— Jakis konkretny powód, dla którego jest nieprzytomna? – zapytała.

— Zemdlała pod drzwiami. Wydaje mi się, że ma gorączkę.

Kobieta przykluczyła i ostrożnie położyła rękę na czole Frei.

— Wydaje ci się, że ma gorączkę – wymamrotała do siebie, po czym ponownie

Abner posiadł pewien bardzo silny instynkt. Krzyczał on teraz w jego głowie, głosiniej od czegokolwiek innego, karząc mu natychmiast uciekać.

— Do świtu mamy trzy godziny – powiedział, spoglądając na wiszący nad łóżkiem zegar – otrzyj łzy i się przebież. Do tego czasu ma nas nie być już w mieście.

Słyszac te słowa, umysł Miri samistnie przeskoczył na od dawna nieużywane tory. Musiała uciekać i tylko to się teraz liczyło. Bez słowa wstała na nogi i ruszyła rozpoczac przygotowania.

* * *

Wschodzące słońce powitało dwójkę jeźdźców, oddalających się w pośpiechu z dala od miasta. Sami nie wiedząc czemu, popędzali konie, czując głęboką potrzebę jak najszybszej ucieczki. Trochę później znaleziono sierżanta straży leżącego w kałuży krwi wewnątrz własnego gabinetu. Znalaziono też kartkę „*zamknięte do odwołania*” na drzwiach jednego z największych sklepów w mieście. Nikt jednak nie próbował powiązac tych dwóch pozornie niezależnych zdarzeń. Tym bardziej nikt nie próbował powiązac ich z pewną małą książką spoczywającą w domu właścicieli zamkniętego sklepu.

* * *

Ciepłe promienie porannego słońca wybudziły Sulima ze snu. Ziewając, przekręcił głowę i spojrzał na puste postanie Freji. Westchnął cicho, stwierdzając, że prawdopodobnie znowu nie znużyła oka. Nie tracąc czasu, szybko ubrał się i wyruszył jej poszukać. Ku swemu zdziwieniu znalazł ją przy ładnie karczmy. Spała przykryta kocem. Spojrzał na stojącą obok jej głowy pustą butelkę i domyślił się, co się stało.

— Przez twoją „*ślostrę*” nie mogłem tej nocy znużyć oka – powiedział karczmarz, chwytając krokiem wychodząc zza zaplecza.

— Dzień dobry – odparł przyjaźnie Sulim, przyglądając się podrażnionym oczom karczmarza – coś ważnego mnie ominęło?

— W sumie to nie, tak sobie tylko rozmawiałismy.

— O czym?

Karczmarz skrzywił się, siłąc się na sensowną odpowiedź.

— Szczerze mówiąc, to nie wiem – powiedział, po czym przypomniał sobie ostatnie słowa Freji – a, wiem, wiem, powiedziała, że dziecko nie jest two... – urwał, uznysławiając sobie, że właśnie mógł ujawniac jakiś skrywany sekret.

Twarz Sulima zamarta w czymś pomiędzy zdziwieniem a konsternacją.

— Czyje dziecko nie jest moje? – zapytał spokojnie.

Karczmarz wziął oddech, chcąc coś powiedziec, ale nagle zmienił zdanie.

— Jak teraz o tym pomyśle, to nie wiem – stwierdził cicho – tak czy inaczej, zaraz otwieram karczmę. Twoja... siostra nie może dluzej spać przy ładzie.

Sulim kiwnął głową. Spojrzał na spokojnie oddychającą kobietę. Nie chciał jej teraz budzić, miała co oksypiac.

— Pomozesz mi ją przeniesc? Moze uda nam się jej przy tym nie zbudzić.

Karczmarz zgodził się, wymownie przy tym wyrażając oczyma.

* * *

Zbudziła się trochę po południu. Usiadła na swoim posłaniu i tępo wpatrzyła się

Rozdział V

Sierżant straży od paru godzin usiłował zasnąć. Ostatnio często miewał z tym problemy. Czując się bezsilny, wstał z łóżka i usiadł przy swoim małym biurko. Po omacku wyciągnął z szuflady niewielki ogarek. Zapalił go i postawił przed sobą. Bezmyślnie wpatrywał się w migoczący promyk, cierpliwie czekając na nadejście ranka. Z transu wyrwało go ciche skrzypnięcie podłogi. Gwałtownie odwrócił głowę i ujrzał oświetloną słabym światłem postać podstarzałej kobiety. Ubrana w koszulę nocną, w ręku trzymała nóż. Bez słowa wykonała chwiejny krok do przodu, obserwując mężczyzną nieobecnyimi oczyma. Na jej twarzy widniał obłąkany uśmiech. Sierżant zerwał się z krzesła, lecz kobieta wyskoczyła do przodu i zreżnie wbiła ostrze między jego żebra. Nawet nie zdołał wydobyć z siebie dźwięku. Przez chwilę obserwował, jak kobieta spokojnie wyciąga nóż z jego ciała i bez najmniejszego pośpiechu opuszcza pomieszczenie. Zsunął się z krzesła na podłogę i umarł.

* * *

Abnera obudził głośny krzyk. Bezwłocznie podniósł plecy i rozejrzał się po swojej sypialni. Obok łóżka stała jego żona z szeroko otworzonymi ustami. Pomimo ciemności zdołał ujrzeć trzymany w jej reku nóż. Upuściła na ziemię ostrze i przykućnęła, łapiąc się za głowę.

— Co się stało? – krzyknął jej mąż – Jesteś ranna?

Zerwał się z łóżka i podszedł do żony. Ostrożnie odsunął pokryty zakrzepłą krwią nóż z zasięgu jej ręki. Ślady krwi znalazł również na jej ubraniu. Szybko oglądał małżonkę ze wszystkich stron. Odetchnął z ulgą, nie znajdując żadnych ran. Objął ją rękami.

— Już dobrze – powiedział cicho – jestem obok ciebie.

Przez parę minut spoczywali w bezruchu.

— Co się stało? – powtórzył w końcu łagodnie.

— Nie wiem – szepnęła drżącym głosem – nie pamiętam. Usnęłam, po czym zbudziłam, się stojąc przy własnym łóżku z nożem w ręku.

Kupiec poruszył ustami, nie wydobywając z nich żadnego dźwięku. Nie wiedział co powiedzieć.

— Tracę rozum, prawda? – kontynuowała – Co mam teraz zrobić?

Coś nieokreślonego, z ogromną siłą każało Abnerowi udać, że nic się nie stało. Każało mu uspokoić zonę i następnie o całym zdarzeniu zapomnieć. Każało mu kontynuować ich spokojne, normalne życie. Jednak przez lata praktyki przestępczej

się wyprostowała i spojrzała na męża – zanieś ją do łaźni, a jak skończysz, to biegnij po doktora Mordekaia i nie, nie obchodzi mnie, że go nie lubisz, i że jest noc, i że będziesz musiał go budzić, i że będziesz musiał z nim rozmawiać. To nie ja przynoszę do domu nieprzytomne, śmierdzące, chore, niedorobione strażniczki, i kim do cholery ona w ogóle jest?

— Pamiętasz wiadome, którą wczoraj chcieli spalić? – zapytał, uśmiedając się. Miria spojrzała na niego zrezygnowanym wzrokiem. Nie, żeby ją szczególnie zaskoczyła odpowiedź, wręcz przeciwnie, spodziewała się czegoś dziwniejszego.

— Wiesz co? Nie kończ nawet. Jak Mauricio będzie dęgał cię rozżarzonym pretem, to ja będę stała obok. Trzymając w ręku drugi preć, śmiejąc się.

* * *

Abner szybkoim krokiem szedł ulicą pogrążonego w mroku miasta. Zastanawiał się, jakim cudem udało się dwóm strażnikom namówić go na przegarnięcie ściganej przez inkwizycję kobiety. Wczoraj podszli do niego, gdy siedział w karczmie, odpoczywając od obecności żony i tak po prostu zapytali, czy pomoże im wywieźć z miasta „przyjaciółkę”. Mógł ich zwyczajnie przegonić, lecz zaintrygowany zrobił im miejsce i poprosił, by usiedli i opowiedzieli mu całą historię. I tak od słowa do słowa, rozbawiony strażnikami knującymi plan uwolnienia pilnowanego przez nich więźnia, zgodził się. Westchnął cicho, stając przed drzwiami domu Mordekaia. No cóż, teraz przyszło zmierzyć się z konsekwencjami tamtej chwili bezinteresowności. Zapukał parę razy i odsunął się, czekając na reakcję. Doktor Mord, jak dobrodusnie nazywali Mordekaia pacjenci, był lekarzem specjalizującym się w szyciu ran ciętych, wyciąganiu wbitych strzał oraz dyskrecji. Pomagał każdemu o każdej porze pod warunkiem, że było go na to stać. Po chwili rozległy się ciche kroki i w drzwiach pojawiła się stojąca w zakrwawionej białej szacie postać.

— Abner! – powiedział zdziwiony – co może cię sprowadzać?

— Przeszkodziłem ci w czyns? – zapytał, patrząc na czerwone krople powoli opadające z trzymanego w ręce lekarza cienkiego noża.

— W sumie właśnie skończyłem – odparł – wejdź do środka i się rozgość.

Abner zamknął za sobą drzwi i rozglądał się po sterylnie czystym gabinecie. Poza paroma stojącymi pod ścianami regałami jedynym meblem był umieszczony pośrodku masywny stół. Obecnie leżało na nim ciało młodej kobiety ze świeżym szyciem na brzuchu. Abner spojrzał na jej twarz i z przerażeniem ją rozpoznał.

— Mordekai – krzyknął do znajdującego się pomieszczenie obok lekarza – co na twoim stole robi okrwawione ciało córki Baronowej?

— Zabawne nie? – odpowiedział zza ściany – okazało się, że jestem jedną osobą w mieście uniejącego wyciąć ślepą kiskę. Baronowa najwyraźniej do ostatniej chwili szukała jakiegoś lekarza o lepszej reputacji. Przynieśli ją do mnie trzy godziny temu w krytycznym stanie. Ledwo udało mi się wyratować biedną dziewczynę.

Mordekai ponownie wszedł do gabinetu przebrany już w czysty fartuch z wiatrem w ręku. Podszedł do nieprzytomnej pacjentki i ostrożnie zaczął ją obmywać z krwi.

— No mów co cię sprowadza – powiedział, mocząc biały ręcznik w wodzie.

Abner spojrzał z niedowierzaniem na lekarza. Owszem, zawsze wiedział, że ten człowiek żył w trochę w innym świecie, ale aż tak?

— Chcesz mi powiedzieć – zaczął – że tak po prostu zostawili ją u ciebie, bez żad-

nej obstawy? Córkę najpotężniejszej osoby w mieście? Samą na łaskach złowrogiego lekarza? W samym środku nocy?

— Teraz gdy to mówisz, rzeczywiście wydaje się to być trochę dziwne... – odpowiedział zamyślony.

Abner zaśmiał się cicho w myślach. Wydawało się mu to być TROCHE dziwne. Było jednak już i późno był zmęczony, postanowił więc nie zaprzątać sobie głowy nieistotnymi szczegółami.

— Dobrze, nieważne. Słuchaj, moja hmmm... córka ma wysoką gorączkę i jest nieprzytomna.

Ręka lekarza zamartała w bezruchu. Po chwili ciszzy podniósł czerwoną już szmatkę i zaczął ją pukać w wodzie.

— A ile lat ma twoja... córka? – zapytał powoli.

— Bo ja wiem? Dwadzieścia trzy? Dwadzieścia sześć?

— Jakiejś rozległe rany? Utrata krwi? Nie wierzę, żebyś biegł do mnie w nocy z powodu gorączki jakiejś... to znaczy twojej córki.

— Miria kazała mi po ciebie iść – odparł Abner krótko – mówiła też coś o nagłym, nieprzewidywalnym i beztęrnym opóźnieniu dostaw twoich zamówień.

Mordekai w ciszy skończył oczyszczać pacjentkę, po czym przykrył ją kocem. Sprawdził jeszcze puls i przez chwilę wsłuchiwał się w jej oddech. Upewniwszy się, że wszystko z nią w porządku podszedł do drzwi i ze stojącego przy nich wieszaka zdjąć prosty czarny płaszcz.

— Cóż zrobić – powiedział, ubierając się – Jak twoja małżonka każe, to trzeba iść.

* * *

— To jak się ma cudowne znaleźisko mojego kochanego męża? – zapytała Miria z przekąsem.

Mordekai przez chwilę nie odpowiadał, zastanawiając się co powiedzieć. Odchylił do tyłu głowę i wpatrzył się w sufit.

— Nie wiem – powiedział krótko – jest przeziębiona, niedożywiona i wycieńczona, ale jest coś jeszcze, i to coś mi się nie podoba.

Małżeństwo wpatrzyło się w lekarza, czekając na jakies dalsze informacje, ten jednak siedział nieruchomo, błędząc gdzieś myślami.

— Chciałbym ją wziąć do siebie na dalszą obserwację – powiedział w końcu – chociaż dopóki nie odzyska przytomności. Będzie z tym jakiś problem?

— Pomijając fakt, że ściga ją inkwizycja? Nie, raczej nie – rzuciła Miria, leniwie mieszając herbatę.

Zaległa kolejna chwila niezręcznej ciszy.

— Wiedźma? – zapytał cicho Mordekai, przypominając sobie rozszalałych strażników przetrząsających wczoraj miasto.

— Wiedźma – odpowiedzieli mu zgodnie małżonkowie.

Lekarz powoli wstał z miejsca i podszedł do leżącej na podłużnej kanapie Frei. Rozpalona oddychała nierówno. Zastanowił się co dalej zrobić.

— To jak, bierzesz ją? – zapytał Abner, stając obok – średnio wiem jak się opiekować nieprzytomnymi ludźmi.

— Jak inkwizycja wparuje do mojego gabinetu, to wiedźma będzie najmniej szym znarstwieniem – powiedział, nie odrywając wzroku od swojej nowej pacjentki

się zatrzymał. Ból ustąpił, oprawcy zastęgli w miejscu. Obraz powoli stawał się coraz mniej ostry i w końcu całkowicie zniknął. Tej nocy już nic więcej nie śniła.

— Też się zgadzam – powiedział nowy głos – musimy dowiedzieć się, co było jej celem – usłyszała, jak ktoś wstaje z krzesła i podchodzi do niej – a więc złodziejko, ze względu na to, że wydajesz mi się być godną podziwu profesjonalistką, zaproponujemy ci prosty układ. Powiesz mi, co kazano ci ukraść. Jeżeli ci uwierzę, obiecuję ci całkowity brak jakichkolwiek dalszych pytań. Czy ktoś jest temu przeciwny? – nikt nic nie powiedział – A więc niech tak będzie. Masz czas do następnego ranka.

— Czerwoną książkę z komnaty ukrytej wewnątrz skarbcza z aktami własności – szepnęła cicho, a raczej usłyszała swoje szepnięcie.

Jej słowa można by porównać do palącego się ogarka, wrzuconego do pomieszczenia wypełnionego olejem. Siedzące przy stole postacie zerwały się z krzesel i wszystkie naraz zaczęły krzyczeć.

— Doktorze, zabierz strażników i natychmiast opuśćcie pomieszczenie – powiedziała osoba, która przed chwilą składała jej propozycję – Mam nadzieję, że rozumiecie, że nigdy nie słyszeliście jej słów.

Usłyszała ciche kroki i trzaśnięcie masywnych drzwi.

— Czy wiesz, co jest w tej książce?

— Skąd wiesz cokolwiek o tej książce?

— Skąd wiesz, o jej istnieniu?

— Po co kazano ci ją ukraść?

Każda z pozostałych w pokoju osób wykrzykiwała inne pytanie. Freja poczuła, jak jej usta układają się w szeroki uśmiech.

— Cholera – stwierdziła któraś z nich.

W pomieszczeniu zaległa dłuższa chwila ciszy, w trakcie której wszyscy wpatrywali się w triumfalny uśmiech złodziejki.

— No cóż... – powiedziała stojąca przy niej osoba – powiedzieliśmy, że nie będziemy o nic pytali, prawda? O torturach nikt nic nie wspominał...

Ręka gwałtownie przycisnęła Freję w oparcie. Tym razem kobieta nie wytrzymała bólu. Oczy przysłoniła jej ciemność i zemdlała. Sen nie miał jednak najmniejszego zamiaru się skończyć. Natychmiast ujrzała kolejną scenę. Leżała sama w całkowitej ciemności. Każda, nawet najmniejsza, część ciała krzyczała o ratunek. W ustach czuła krew, zza ścian dochodziły do niej zniekształcone krzyki. Nie poruszała się, nie miała na to siły, ani fizycznej, ani psychicznej. Oddychała płytko, unikając za głębokich ruchów klatki piersiowej. Chciała się zbudzić, uciec jak najdalej od tego miejsca. Po wielu długich minutach do jej uszu doszły ciche kroki. Poczuła, jak przez jej ciało przechodzi fala paniki i strachu. Z głuchym trzaskiem otworzyły się drzwi, wpuszczać do środka strużkę światła. Lekko uniosła głowę, spoglądając w niewyraźną twarz.

— Zabij – usłyszała swój błagalny głos.

Postać nachyliła się do jej ucha.

— Kimkolwiek byś, przez ostatnie dni zacząłem darzyć cię głębokim szacunkiem – wyszeptala – choć pewno moje słowa mało dla ciebie znaczą, wierzę w ciebie. Otrzymaj Izę, spójrz dumnie przed siebie i zamknij usta. Nie daj się im złamać.

Postać szybko odsunęła się, stając pod ścianą. Do kamiennej celi weszły dwie osoby. Nie zwlekając, chwycili Freję i zaczęli ciągnąć ją za sobą po podłodze. Choć Freja nie miała żadnej kontroli nad snem, jej myśli krzyczały wniebogłosy. Domyślała się czego zaraz będzie świadkiem i nie chciała tego doświadczać. Chciała wrócić do swoich małostkowych problemów, wrócić do snów o zabitych przez siebie ludziach. Jakie śmieszne wydały się jej teraz te problemy. Nagle, jakby słysząc jej myśli, sen

– Słyszałem, że oni krzywo się patrzą na rozcinianie ludzi w celach medycznych.

— Masz nagły atak bezinteresowności, czy ci zapłacić? – zapytał Abner – To pierwsze jest ostatnio niesamowicie popularne.

Mordekai uśmiechnął się szeroko. W sumie dotąd nie zastanawiał się, dlaczego stary kupiec pomagał chorej, ściganej przez inkwizycję kobiecie.

— No nie, przecież nie mógłbym być gorszy od ciebie – odpowiedział – zresztą zawsze mogę doliczyć trochę do zapłaty za twoją następną wizytę – zamyslił się na chwilę – Jak ją przetransportujemy? Nie mam noszy. Poza tym ktoś mógłby ją rozpoznać.

— Wrzućcie ją do taczki i przykryjcie kawałkiem materiału – rzuciła ciągle siedząca przy stole Miria – żartowałam – dodała, widząc ich miny – naprawdę żartowałam!

* * *

Mordekai obudził głośny krzyk. Przetarł oczy i wstał z krzesła, na którym najwyraźniej wczoraj usnął. Rozespanymi jeszcze oczyma szybko rozejrzał się po swojej małej sypialni. Jego wzrok zatrzymał się na łóżku, na którym leżała Freja. Nie, ona ciągle była nieprzytomna, kto inny musiał krzyknąć. Nagle z przerażeniem przypomniał sobie o córce baronowej. Dwoma długim susami podskoczył do drzwi gabinetu i gwałtownie je otworzył. Operowana wczoraj dziewczyna siedziała przerażona na niedomitym do końca stole. W sumie to miała powód, by krzyczeć. Przyszyczajona do wygodny młoda arystokratka obudziła się nagle w obcym miejscu, na pokrytym zakrzepłą krwią stole. Widząc stojącego w drzwiach Mordekaia, zaczęła gwałtownie nabierać powietrza, przygotowując się na kolejny wrzask. Lekarz jednak szybko do niej podskoczył i zakrył ręką usta. Musiał ją natychmiast uspokoić. Wolną rękę położył jej na ramieniu i siłą położył ponownie na płask.

— Nie wolno ci wstawać! – krzyknął – ani tym bardziej krzyczeć!

Szybko zorientował się, że jego słowa nie pomagały w uspokojeniu przerażonej dziewczyny. Usunął rękę z jej ust i szybko przycisnął jej kolana do stołu. Nie mógł pozwolić, by zaczęła wierzgać nogami.

— Posłuchaj mnie! – wrzasnął, patrząc jej w oczy – nie możesz wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Przeszłaś ciężki zabieg i otworzysz sobie rany. Jestem lekarzem, przyniesiono cię do mnie w nocy, nieprzytomną. Rozumiesz? Musisz się natychmiast uspokoić!

Z ulgą poczuł, jak mięśnie przyćmionej dziewczyny powoli się rozluźniają. Powoli rozluźnił chwyt i upewniając się, że nie wykona żadnego nagłego ruchu, całkowicie odsunął rękę.

— Pójdę po jakieś ubranie, po czym przeniesiemy cię w jakieś wygodniejsze miejsce – powiedział, ponownie przykrywając ją zrzuconym na ziemię kocem – zrozumiałaś?

Niepewnie kiwnęła głową, przyglądając się ubranemu w białe fartuch mężczyźnie. Mordekai nie był szczególnie stary, szczerze mówiąc, był stosunkowo młody. Do miasta przybył niecałe sześć lat temu jako świeży absolwent akademii medycznej. Bez żadnych pieniędzy ani znajomości szukał sponsora, który umożliwiłby mu zakup narzędzi oraz otworenie gabinetu. Nikt jednak nie ufał młodemu lekarzowi pochodzącemu z biednej rodziny. Wtedy przyszedł do niego Abner i zaproponował mu wypełnienie pewnej niszy na rynku medycznym. Tak rozpoczął swoją niesław-

nią karierę jako doktor Mord. Przydomka nie zyskał jedynie dzięki imieniu. Wysoka i szczupła postać lekarza z lekko maniackim spojrzem i luźno opadającymi czarnymi włosami idealnie pasowała do rysopisu psychopatycznego mordercy. Mordekai widząc, że jego pacjenta leży nieruchomo, wrócił do sypialni. Spojrzał na nieprzytomną Freję i westchnął zrezygnowany. Miał tylko jedno łóżko. No cóż, córka Baronowej na pewno nie wiedziała, jak wygląda ścigana przez pół miasta wiedźma. Będą musieli obie znieść się w jednym łóżku, przynajmniej póki nie pożyży od kogoś drugiego. Jego pacjenci rzadko przebywali u niego dłużej niż parę godzin i nie był przygotowany na goszczenie kogokolwiek. Ostrożnie odsunął Freję na skraj łóżka i podszedł do szafy, aby znaleźć jakieś ubranie dla leżącej w gabinecie dziewczyny. To, w czym ją przyniesiono, do niczego się nie nadawało. Zastanowił się, jak arystokracja mogła w ogóle spać w niewygodnych, ciasno opinających ciało piżamkach z bufaszowymi rękawami. Po chwili przerzucania łachów wyciągnął prostą jednoczęściową tunikę, w której czasem spał podczas lata. Co prawda była za duża, ale chociaż łatwo było ją założyć na leżącą osobę. Szybkim ruchem złożył ją w pół i wrócił do gabinetu. Dziewczyna trzymała ręką skraj koca i lekko go unosząc, obłąkanym wzrokiem przyglądała się szyciu na swoim brzuchu. Westchnął ponownie. Powolnym krokiem podszedł do niej i przykucnął, zrównując swoją głowę z poziomem stołu.

— Jak ci na imię? – zapytał, starając się, by jego głos zabrzmiał względnie ciepło. Na jej twarzy zauważył napływające powoli do oczu łzy. Najwyraźniej jego obecność nie pomagała załagodzić synuacji.

— Proszę cię, tylko nie płacz – powiedział błagalnie – patrz, przyniosłem ci ubranie.

Dziewczyna przekręciła lekko głowę i spojrzała na czarną szmatę utrzymaną przez Mordekai'a w ręce. Zastanowiła się przez chwilę czy nie powinna się rozśmiać.

Lekarz ostrożnie pomógł jej w założeniu ubrania, po czym uśmiecnął się mimowolnie. Dostojna córka Baronowej owinięta dwukrotnie za dużą szatą nocną wyglądała komicznie. Przyglądając się jej, stwierdził, że była całkiem niebyszła. Młodsza o parę lat od Frej była niższa od niej o ponad głowę. Nagle wyminił co zrobić, by poprawić jej nastrój. Szybkim krokiem podszedł do stojącego pod ścianą regału i sięgnął z niego niewielkie lusteczko. Nadawało się idealnie. Uniósł je nad głowę dziewczyny. Kąciaki jej ust drgnęły mimowolnie, gdy przyjrzała się swojemu odbiciu.

— Leokadia – wyszeptwała w końcu niepewnie.

Lekarz uśmiecnął się, słysząc jej głos. Niestety jego uśmiec nie należał do ludzi budzących zaufanie, lecz bardziej do psychopatycznych socjopatów.

— Ja nazywam się...

— Mordekai – dokończyła za niego szepcąc dziewczyna.

Lekarz westchnął cicho i odłożył na stół trzymane w rękach lustro. No cóż, widąc nawet młode arystokratki znały obłąkanego lekarza-samozwańca trudniącego się łataniem złodziei i morderców.

— Przenieśmy cię lepiej na łóżko – powiedział, pochłaniając ją z ziemi.

— Co mi zrobisz? – zapytała cicho, podczas gdy lekarz stawiał ostrożnie kolejne kroki.

— Hmm... usunąłem pewną... jakby to powiedzieć... zbędną część, która u ciebie powodowała silne bóle i doprowadzała do nieprzyjemnej śmierci – widząc, że misiona dziewczyna patrzy mu w oczy, kontynuował – teraz musisz przez parę dni

* * *

Znowu śniła, lecz tym razem sen był inny. Nie biegła przez las, nie padał deszcz, nigdzie nie było tej cholernej księżki. Leżała na kamiennej podłodze, skierowana twarzą w dół. Na plecach czuła pulsujący ból. Szybko skojarzyła go z innymi snami. Bolało to samo miejsce, w które została postrelona podczas ucieczki przez las. Z oddali nadeszły powolne kroki. Ktoś złapał ją pod ramionami i zaczął ciągnąć po podłodze. Pojękiwała przy tym cicho. Freja zrozumiała, że musiała śnić trochę późniejsze wspomnienia. W końcu zatrzymali się i została gwałtownie posadzona na krześle. Krzyknęła, uderzając plecami o oparcie.

— Mówiłem ostrożnie! – krzyknął zza niej nieznanym głosem – otworzyście jej ranę. Otworzyła ociężałe oczu i spróbowała się rozzejrzeć po ciemnym otoczeniu. Udało się jej wylowić kształt stołu oraz siedzących przy nim czterech postaci.

— Dziękujemy doktorze – odezwała się jedna z nich – jaki jest jej stan?

— Będzie żyła, zakładając, że zostawicie ją w spokoju przez trzy, cztery dni. W tej chwili jest na pograniczu stracenia przytomności. Mówiłem, że byście nie używali tych cholernych haczykowatych grotów. Cudem udało mi się wyciągnąć tę strzałę.

— Słyszysz nas? – zwrócił się do niej inny głos – Rozumiesz, co do ciebie mówimy?

Freja czekała aż usłyszy swój głos udzielający odpowiedzi na pytanie. Jej ciało jednak milczało. Ktoś cicho westchnął i czyjaś ręka wcisnęła ją w oparcie. Poczuła odbierającą świadomość falę bólu.

— Czy nas słyszysz? – zapytał ponownie ten sam głos.

Najwyraźniej żyjąca w przeszłości złodziejka nie miała zamiaru odpowiadać na zadane pytania. Ręka ponownie przycisnęła ją do krzesła i ponownie rozległ się jej rozpaczliwy krzyk.

— Starczy – powiedziała stojąca za nią postać – nie po to wyciągałem ją z pogranicza śmieci, byście zabili ją jeszcze przed zadaniem pierwszego pytania. Nie rozumiem, czemu jeszcze nie zemdała.

— Bo to szkolona gildyjna złodziejka, do tego pewnie jedna z ich najlepszych. Nie wierzę, by wysłali do nas nowicjuszy. Patrz, jak nie odpowiada nam nawet na najgłupsze pytanie – uśmiecnię ją, zwrócił się do niej – czy chcesz sobie jeszcze trochę pokrzyżować?

Freja zapłakała w myślach, prosząc, by siedząca na krześle kobieta odpowiedziała. Nagle dookoła niej wybuchła lekka szamotanina.

— Doktorze, proszę puścić jego rękę.

— Nie, nie zabijecie jej teraz tylko po to, by odczuć z tego powodu jakąś chorą satysfakcję.

— Wiesz, że twoje słowa poważnie podważają nasz autorytet?

Przez chwilę słyszała tylko swój nierównomierny oddech.

— Zgadzaam się z doktorem – odezwał się kolejny głos – wiemy, że jest gildyjną złodziejką. Klienta pewno nie zna więc jedną rzecz, którą możemy od niej wyciągnąć to, co miała ukraść.

Freja poczuła silne zdziwienie należące do kobiety, której wspomnienia przeżywała. Jak mogli nie wiedzieć co ukradła? Przecież złapał ją z tą cholerą księżką w rękę.

- To ci handlarze niewolników...
- Nigdy nie istnieli – powiedziała łagodnie – sam przecież mówiłeś, handel niewolnikami jest nielegalny od stuleci. Poza tym, jak młoda kobieta byłaby w stanie zabić dwóch roslých mężczyzn? Szczególnie jak ją otoczyli z dwóch stron, a jej brat leżał nieprzytomny na ziemi. Mogłaby spróbować jednego wiaź z zaskoczzenia, podrywając mu gardło, ale ciągle pozostałby ten drugi. On jednak także nie spodziewałby się ataku i przez ułamek sekundy wpatrywałby się w tryskającą ranę kolegi. Można by spróbować, wykorzystać tę krótką chwilę, by cisnąć w niego nożem – spojrzęła na otwarte usta karczmarza – nalej mi więcej, co?
- Mężczyzna niepewnie kiwnął głowę i wyciągnął zza lady drugie naczynie. Czuli, że sam też musi się napić.
- Wiesz, co jest najgorsze? – zapytała, podnosząc pełną szklankę – Gdy usłyszałam, jak ich ciała upadają na ziemię, odczułam satysfakcję. Gdy ciepła krew oblała mi policzek, poczułam przyjemność. Chciałam krzyknąć z radości, gdy wypuszczony z ręki sztylet po pojedynczym obrocie wbił się czysto w szyję – szybko opróżniła szklankę – nalej mi więcej.
- Nie wiem, czy powinienem – powiedział cicho karczmarz – wypijaś już bardzo dużo.
- Nalej mi więcej – powtórzyła łagodnie. Tak się przynajmniej jej wydawało. Widać, jak jej szklanka ponownie się napełnia, kontynuowała – to głupie, ale najwyraźniej nienawidzę siebie za to. Jak myślisz co mam zrobić?
- Kim jesteś? – zapytał coraz bardziej zmieszany karczmarz.
- Upita arystokratka, wygadującą głupoty. Mój brak to tak naprawdę mój kochanek. Uciekłam z miasta, bo bałam się powiedzieć ojcu, że zaszłam w ciążę z grajkami z plebsu.
- Karczmarz kaszlnął głośno, krztusząc się trunkiem. Rozmowa powoli stawała się coraz bardziej abstrakcyjna.
- Mogę też być zbiegłą z rąk inkwizycji wiedźmą – kontynuowała – mogę też być złodziejką albo zabójczynią, która straciła pamięć. Mogę też być całkowicie czymś innym. Czymś, co znalazło się tu całkowicie przypadkiem. Czymś, co zmuszone było krażyć i obserwować was od tysięcy lat, grał ballady pod oknem. Jak, ja młoda i piękna, mogłam się mu oprzeć? Nie zastanawiałam się wtedy, czym skończy się mój niewinny roman. A skończył się śmiercią czterech ludzi – westchnęła cicho, opróżniając szklankę – najgorsza jest ta książka, co ukradłam. Śni mi się co noc, budzę się zawsze z łana potem. Nawet bliska o becność kochanka nie pomaga – przekrzywiła lekko głowę i wzięła głęboki oddech – po śmierci ojca brat postanowił się mną zaopiekować. Chodzę za nim już od pięciu lat, będąc niczym tylko obciążeniem. Nie mogę całe życie polegać na nim, co mam zrobić? Wiem, pójdę mu to powiedzieć.
- Freja niepewnie wstała z krzesła i wykonała chwiejny krok. Natychmiast obaliła się na ziemię. Mężczyzna wybiegł zza lady i przykucał przy niej.
- Powiedz mojemu bratu, że... – zaczęła, z trudem wymawiając słowa – że dziecko nie jest jego – dokończywszy zdanie, zamknęła oczy i natychmiast usnęła.
- Karczmarz w chwili zadumy dokończył butelkę, przyglądając się leżącej na ziemi kobiecie. Podniósł ją i posadził z powrotem na krześle. Przykrył ją jeszcze szybko kocem i udał się do łózka. Teraz to on nie mógł zasnąć.

- poleżeć, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, aby dać swojemu ciału czas na regenerację.
- Zamilkł, stając przed łóżkiem, po czym delikatnie ułożył Leokadię obok nieprzytomnej Frei. Wreszcie mógł mieć chwilę spokoju.
- Mordekai – szepnęła lekko nerwowym głosem.
- Tak?
- Dłaczego obok mnie leży złapana przez inkwizycję wiedźma? – zapytała spokojnie.
- Lekarz podszedł do krzesła i usiadł na nim zrezygnowany. Odchylił do tyłu głowę, spoglądając na sufit. Miał już lekko dosyc tego poranka.
- Bardzo ci to przeszkadza? Możemy o tym porozmawiać, jak już, powiedzmy, coś zjem? – zapytał z nadzieją.
- Leokadia niepewnie kiwnęła głową. Odetchnął z ulgą i podniósł z nocnego stolika mieczek z pieniędźmi.
- To idę na targ kupić jedzenie – powiedział, opuszczając sypialnię – jeżeli to możliwe postaraj się trochę przespać – krzyknął, będąc już przy drzwiach.
- Słyszając trzask zamykanych drzwi, dziewczyna zacisnęła kurczowo ręce na kołdrze. Nie wyobrażała sobie, jak w takiej sytuacji mogła po prostu usnąć. Wycieniony psychicznie i fizycznie organizm jednak po paru minutach dał za wygraną i rzeczywistość usnęła.
- * * *
- Leokadię obudził ostry zapach ziół. Ostrożnie otworzyła oczy i ujrzała leżącą obok wiedźmę. Starsza zaledwie o parę lat kobieta nie wyglądała specjalnie groźnie. Czarne włosy splecione były w jeden nierówny warkocz, a na ostoniętym czole leżał złożony wielokrotnie mokry ręcznik. Nagle nad Leokadią wyrosła postać Mordekaia. Dziewczyna przestraszyła się i szybko zamknęła oczy, udając, że nadal śpi. Lekarz ostrożnie zdjął kompres z głowy Frei i schylił się, zanurzając go w leżącej na ziemi misce z wodą.
- Jak się czujesz? – zapytał, prostując się – dasz radę napić się czegoś?
- Leokadia ponownie otworzyła oczy i przyjrzała się, jak Mordekai uklada oczekującą wodą ręcznik na czole leżącej obok kobiety. Niepewnie kiwnęła głową. Powoli uniósł jej plecy, opierając je o ścianę, po czym podał jej do rąk stojący pod łóżkiem blaszany kubek. Dziewczyna patrzyła, jak lekarz oddala się i siada przy znajdującym się po przeciwnej stronie pomieszczenia stole. Na blacie rozdostawione były dziesiątki małych szklanych naczyń. Mordekai wzięł do ręki niewielki tłuczek i zaczął ostrożnie ucierać zawartość ceramicznego moździerza. Oderwała od niego wzrok i zajrzała do otrzymanego naczynia.
- Co to jest? – wyszeptwała.
- Woda – powiedział, nie odrywając wzroku od moździerza – czysta, przegotowana woda ze studni.
- Dziewczyna ostrożnie przechyliła kubek i jednym łykiem wypila jego zawartość. Mordekai na chwilę przestał kręcić tłuczkiem i spojrzął na jej twarz, obserwując jej reakcję. Spodziewał się od młodej arystokratki słów protestu, krzywienia się i nierealnych żądań, lecz ta powoli i bez słowa odstawila puste już naczynie. Choć starała się być opanowana i spokojna, wewnątrz niej ciągle szalała panika. Oddychała spokojnie, starając się nie myśleć o sytuacji, w której się znalazła. Próbowwała

przypomnieć sobie słowa jakiegś wesołego piosenki, gdy ponownie podszedł do niej lekarz. Mimowolnie drgnęła i skuliła się lekko, przywierając ciałem do ścian.

— Spokojuje, nic ci nie zrobię – powiedział, naglejodniej jak potrafił – patrz, zrobiłem lekarstwo dla twojej nowej koleżanki – dodał, ukazując zawartość przyniesionego ze sobą moździerza.

Przykucnął przy łóżku i wolną ręką ostrożnie rozchylił jej usta. Wlał do środka oleistą ciecz, po czym lekko uniósł jej głowę.

— Na szczęście jest na tyle przytomna, by odcuchowo przełykać – powiedział, powoli układając ją na poduszce – wszystko co mogę dla niej teraz zrobić to starać się zwalczyć gorączkę. Mójny nadzieje, że to wystarczy.

Leokadia rozluźniła trochę napięte mięśnie. Chciała zadać tysiące pytań, lecz aktualnie nie mogła się na to odważyć. Przełamała się w końcu.

— Dlaczego... dlaczego obok mnie leży ścigana przez inkwizycję wiedźma? – wyszeptwała, starając się zachować spokojny ton.

Lekarz zachichotał cicho. Z wszystkich możliwych rzeczy to ją interesowało najbardziej. No cóż, w sumie nie dziwił się jej. Zastanowił się przez chwilę nad odpowiedzią. Nie mógł po prostu powiedzieć, że w nagłym przypływie bezinteresowności zabrał ją od Ahnera.

— Z tego, co mi wiadomo, to uciekła z więzienia, po czym nagle straciła przytomność – zaczął powoli – poproszono mnie, żebym się nią zaojplekował i się najwyraźniej, sam nie wiem czemu, zgodziłem.

— Dlaczego? – zapytała po chwili ciszy.

— Dlaczego uciekła? Wydaje mi się, że chcieli ją zabić. Dlaczego straciła przytomność? Nie wiem. Dlaczego jej pomogłem? Jak ostatni raz sprawdzałem, to byłem lekarzem, który pomagał każdemu, nieważne kim on był.

— Jak ten ktoś zapłaci – dodała, najciszej jak potrafiła.

Mordekai westchnął głośno. Tragiczną opinię o nim miała ludność miejska. Wolną ręką złapał pustą kubek i się wyprostował.

— Planuję iść do twojej rodzinki poinformować ich, że wszystko z tobą w porządku – powiedział, odchodząc od łóżka – więc zostaniesz sama na parę godzin z groźną wiedźmą obok siebie. Swoją drogą dziwi mnie, że nikt się jeszcze po ciebie nie zgłosił. Przespaliśmy pół dnia, zbliża się już wieczór.

Leokadia spuściła wzrok i o ile to możliwe, posmutniała jeszcze bardziej. Odwrócony tyłem Mordekai tego jednak nie zauważył.

— W każdym razie wygrzebałem gdzieś z któregoś szafki książkę, która z dużym prawdopodobieństwem nie jest o medycynie – kontynuował – szczerze mówiąc, średnio wiem skąd ją mam, a tym bardziej nie wiem, o czym jest, ale chyba lepsze to niż patrzeć się w sufit, prawda?

Rzucił niewielką książkę dzweczącym na kolana, po czym opuścił sypialnię. Leokadia szybko podniosła głowę, chcąc coś krzyknąć, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Ponownie spuściła wzrok i spojrzała na leżący na jej kolanach przedmiot. Tytuł „*Opowieść czterech zimowych nocy*” rzeczywiście nie brzmiał, jakby miał zawierać w sobie jakąkolwiek wiedzę medyczną. Powoli podniosła książkę i nie przeglądając się okładkę, otworzyła ją. Jej dotychczasowa przygoda z literaturą była ograniczona to tomików wyjątkowo słabych wtęszy oraz nudnych romansów, przez co pełna walk, krwi i zwrotów akcji opowieść szybko ją pochłonięła. Z wypiękaniami na twarzy czytała coraz szybciej i szybciej, zapominając o otaczającym ją świecie.

jego małej sypialni doszedł cichy trzask, na tyle głośny, by wyrwać go ze snu. Powoli wstał na nogi i zaciągnął dłoń na uchwycie opartej o ścianę drewnianej palki. Ruszył w kierunku, z którego doszedł do niego dźwięk. Ostrożnie wychylił głowę zza drzwi zaplecza i przyglądał się głównej sali karczmy. Choć było praktycznie całkowicie ciemno, rozpoznał sylwetkę osoby siedzącej przy ladzie. Westchnął cicho i opuścił uniesioną broń.

— Przepraszam – powiedziała Freja, zauważając go – nie chciałam nikogo budzić. Nie mogłam spać i zmęczyło mnie bezproduktywne leżenie.

Karczmarz podszedł do lady i po omacku znalazł mały ogarek. Zapalił go od dogorywającego paleniska i stanął przed kobietą, zastanawiając się co dalej zrobić. Postanowił spróbować jakoś nawiązać rozmowę.

— Dobrze – zaczął – tak jak już oboje nie śpiemy, to porozmawiajmy chwilę. Opowiedz mi coś o sobie. W zamtan poleję ci trunku – zaproponował, uśmiechając się przyjaźnie – karczmarze nigdy nie gardzą ciekawymi historiami.

— Opowiedzieć coś o sobie? – zapytała cicho – Czemu moje życie miało być ciekawe? I czemu miałabym o nim opowiadać?

— Z pewnością młodą kobietę podóżniącą z bratem bardem musiało spotkać coś ciekawego – odparł lekko zdziwiony – choćby po co ci huk?

— Poluję nim na niedźwiedzie – odpowiedziała bezwiednie – ale robię to stosunkowo rzadko, bo one strasznie obficie krwawią? – spojrzała na twarz karczmarza – Dobrze, nie poluje nim na niedźwiedzie.

Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął zza lady niewielką butelkę. Szarpnięciem wyciągnął korek i nalał klarownej cieczy do niewielkiej szklanki.

— Masz, pij. Z moich najlepszych prywatnych zapasów.

Freja niepewnie chwyciła naczynie i powąchała zawartość. Pachniała fermentowanymi jabłkami. Zastanowiła się chwilę. Upić się to nie była najgłupsza rzecz, jaką mogła w tej chwili zrobić, ba mogło to nawet pomóc. Przechyliła szklankę i jednym tchem wypila zawartość. Kaszlnęła, krzywiąc się lekko i przeniosła wzrok na karczmarza.

— A więc jak musisz wiedzieć – powiedziała nieśmiałym tonem – huk należał do pewnych złoczyńców – ostawiła na ladę szklankę, dając znak ręką, że chce więcej.

— Ciekawe, ciekawe – powiedział karczmarz, uśmiechając się przyjaźnie, a kim dokładnej byli ci złoczyńcy? Złodzieje? Bandyty? Mordercy?

— Zajmowali się handlem niewolnikami – odparła spokojnie, wymownie stukając ciągle pustą szklanką.

— Handel niewolnikami? – zapytał mężczyzna, powoli lejąc złocistej cieczy – mało to wiarygodna opowieść. Handel niewolnikami jest zabroniony od wielu stuleci. — W naszym królestwie owsem, jednak świat nie kończy się na naszym królestwie, prawda? Można ich łapać u nas, sprzedawać gdzieś indziej. — Dobrze, to powiedz, jak weszłaś w posiadanie ich huk. — Oj w najprostszym z możliwych sposobów. Proszymy nawet od kradzieży – uśmiechnęła się łagodnie – zabiłam ich.

Karczmarz rozemniął się głośno. Okstawił butelkę i spojrzał w skryte w półmroku oczy Freji. Przszedł go mroźny krew w żyłach dreszcz i natychmiast zamilkł. Bezwiednie położył rękę na rękojęści swojej palki. Freja spokojnie opróżniła kolejną szklankę i ponownie lekko kaszlnęła.

— Zartuję – powiedziała, przybierając neutralny wyraz twarzy. Luk należy do brata, używa go do polowania. Nóżę go, bo brat twierdzi, że ładnie z nim wyglądam.

— Twoja siostra straszy mi klientów – powiedział – nie mam pokoiów do wynajęcia, po co miałbym mieć pokoje do wynajęcia? Nie prowadzę gospody. Mogę sprzedać wam za to piwo.

Freja nie musiała nawet się siłować na próby wzbudzenia współczucia. Wystarczyło, że karczmarz ponownie się jej przyjrzał.

— No dobrze, mam jeden nieużywany pokój. Macie czym zapłacić? – zapytał.

Sulim wyjął specjalnie przygotowany na tę okazję skąpy mieszek i wyciągnął z niego siedem miedzaków.

— Zapłacimy jeszcze raz tyle, jak dostaniemy coś do jedzenia i ciepłą kąpiel – powiedział, kładąc monety na stole.

— I miejsce w stajni dla naszego konia – dodała cicho Freja.

Karczmarz skrzywił się, spoglądając na leżące przed nim pieniądze. Nie było to specjalnie dużo, ale więcej się nie spodziewał. Przeglądając się ponownie przybyszom i zauważył przyczepioną do pasa Sulima lutnię.

— Jesteście muzykami? – zapytał.

— Tylko brat – odparła Freja.

Łamał się jeszcze chwilę, po czym w końcu podjął decyzję.

— Niech wam będzie. Usiądźcie gdzieś, ja pójdę przyrzadzić wam jakiś ciepły posiłek.

Przyszywane rodzeństwo wybrało sobie jeden z wolnych stolików. Freja natychmiast ułożyła na nim głowę, kładąc się na policzku.

— Umieram – wymamrotała.

Sulim westchnął, nie wiedząc jak jej pomóc. Jeżeli porządny posiłek, ciepła kąpiel i miękkie łóżko nic nie pomogą, to pozostanie im szukać jakiegoś wiejskiego znachora.

— Nie, naprawdę, umieram – kontynuowała – ten stół strasznie śmierdzi.

* * *

Co by nie mówić, kąpiel była cudowna. Choć beczka była mała i niewygodna, to nie przeszkadzało to Freji w rozkoszowaniu się ciepłą wodą. W końcu z ubolewaniem wyszła na zewnątrz i stanęła na chłodnej trawie. Wymarła do sucha rozgrzane ciało i założyła pożyczone od karczmarza ubrania. Nie do końca na nią pasowały, ale średnio się tym przejmowała, w końcu ostatecznie dni przeżyła, chodząc w ubraniach własnoręcznie zabitego człowieka. Wyszła zza prowizorycznego parawanu i weszła do karczmy przez tylne drzwi. W środku znajdował się mały pokójek z przygotowanymi dla niej posłaniami. Nie do końca było to obiecane miękkie łóżko, ale nie można było mieć przecież wszystkiego. Spojrzała na leżące w odsuniętym na przyswoitą odległość postaniu Sulima. Już spał. Nie chcąc go budzić, bezgłośnie ułożyła się na swoim. Przykryła się bawełnianym kocem i zamknęła oczy. Tej nocy zamierzała spać.

* * *

Karczmarz nie był człowiekiem ani starym, ani młodym. Nie był za gruby ani za wysoki, nie był też specjalnie chudy. Wyglądał, można by rzec, całkowicie przeciętnie. Z tłumu wyróżniała go jedynie starannie krótko przycięta broda. Nie miał rodziny. W młodości raz się ożenił, lecz jego wybranka stosunkowo szybko zmarła na nieznaną chorobę. Nigdy nie miał serca ponownie się żenić. Oddał się więc prowadzeniu odziedziczonej po jej ojcu karczmy. Dzięki temu miał czym wypełnić długie dni. Do

Główny bohater właśnie zawierał tymczasowy sojusz z pewnym smokiem¹, gdy ktoś zapukał trzykrotnie do drzwi. Dziewczyna nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, nie przerywając czytania. Pukanie po chwili powtórzyło się, po czym rozległ się stłumiony odgłos przekręcanego zamka. Leokadia zareagowała dopiero na ciche kroki rozbrzmiewające w pokoju obok. Opuściła książkę i spojrzała na powoli wchodzącą do sypialni osobę. Z przerażeniem ujrzała przed sobą starszą kobietę, ubraną w szerokie szare spodnie oraz brązową kamizelkę. Leniwie podczuwała niewielkim wytrychem, jednak gdy ujrzała utkwiony w siebie wzrok Leokadii zastępyła w miejscu. Mały metalowy przedmiot z cichym brzdękiem upadł na ziemię.

— Młoda baronowa? – wykrztusiła – co ty do cholery robisz w domu Mordekaia? Trzymając na wpół opuszczoną książkę, dziewczyna tępo wpatrywała się stojącą przed nią kobietę. Choć było to praktycznie niemożliwe, wydawało się jej, że ją zna. Wyobrażała sobie nieznajomą w galowej sukni, trzymającą w ręce kieliszek z winem oraz z niemilosierdzie skrzywioną miną.

— Miria von Horoch? – zapytała, najciszej jak potrafiła.

— Wyłumacz mi, dlaczego rano dostałam zaproszenie na twój pogrzeb? – powiedziała, ignorując pytanie i zamilkła, podczas gdy jej umysł przeprowadził szybką analizę zaistniałej sytuacji – gdzie Mordekai? – krzyknęła, wyobrażając sobie pewien przerażający ciąg wydarzeń – proszę, tylko nie mów, że poszedł do twojej kochanej matki.

Leokadia opuszczała głowę, starając się nie patrzeć w oczy stojącej przed nią kobiety.

— Dłaczego go nie powstrzymałaś! – krzyknęła – jak myślisz, co zrobi twoja kochana matka? – zamilkła widząc łzę spływającą z policzka lekko trzęsącej się dziewczyny.

— Próbowałam – wyszeptała drżącym głosem.

Miria westchnęła cicho. Biorąc pod uwagę sytuację, w której znalazła się młoda arystokratka, nie mogła do niej mieć za wiele pretensji. No i tak była pod wrażeniem, że była w stanie zachować względny spokój.

— Jak dawno poszedł – zapytała już łagodniejszym głosem – może zdążyć go jeszcze zatrzymać.

Po chwili zastanowienia Leokadia złapała palcami grubą plik przeczytanych stron i spojrzała żalostnym wzrokiem w oczy Miri. Ta usiadła na krześle i odchyliła do tyłu głowę. Było już za późno na cokolwiek, pozostawało czekać na dalszy rozwój zdarzeń.

* * *

Posiadłość baronowej obejmowała znaczną część miasta. Na obszarze wielkiego ogrodu znajdował się pałac oraz dwa osobne budynki dla służby. Mieszkało tu i pracowało ponad czterdzieści osób. Baronowa dawała zatrudnienie całym oddziałom ogrodników, kucharzy oraz sprzątaczek. Starsza już arystokratka była wdową. Jej jedyny mąż zmarł rok po ślubie, zostawiając ją z ogromnym majątkiem i z nowo narodzonym dzieckiem. Choć zdarzyło się to już szesnaście lat temu, to po mieście nadal krążyły plotki, że niespodziewana śmierć barona była starannie zaplanowana. Baronowa była bowiem wyjątkowo chciwą i żądną władzy kobietą, a śmierć małżonka dała jej znacznie szersze pole manewru. Jako jedyna przedstawicielka jednego z najstarszych i najbogatszych rodów, miała znaczący wpływ na politykę królestwa.

¹ brzmi ciekawiej od niniejszego tekstu, prawda?

Nawet Wielka Inkwizycja musiała się liczyć z jej zdaniem. Mordekai zbliżył się do wysokich, kamiennych bram posiadłości. Stał parę metrów przed dwoma uzbrojonymi w halabardy strażnikami i zastanowił się co powiedzieć. Mężczyźni wpatrywali się w niego badawczym wzrokiem. Na sobie mieli lekkie kolczugi, ubrane bezpośrednio na długie, sięgające do kostek, czerwone płaszcze z wielkim herbem pośrodku. Z nieznanym nikomu powodów herb rodowy baronowej składał się z trzech długich sztyków witych w zielone jabłko.

— Przepraszam – zaczął w końcu, jednak szybko przerwał, widząc uniesioną rękę jednego ze strażników.

— Nazywacie się Mordekai, prawda?

Lekarz potwierdzająco kiwnął głową.

— Proszę chwilę zaczekać – powiedział, po czym podał swoją halabardę koleźce i w akompaniamencie pobrzękiwania kolczugi wbiegł na teren posiadłości.

Po chwili strażnik wrócił, przyprowadzając ze sobą dostojnie ubranego, mocno podstarzałego mężczyznę. Odebrał pozostawioną halabardę i ponownie stanął wyprostowany na swoim stanowisku. Starzec wyjął zza koszuli dwa małe mieczyki i rzucił po jednym każdemu ze strażników.

— Witam doktora – odezwał się, odwracając się w stronę lekarza – mogę poprosić byśmy przed dalszą rozmową, oddalił się od tego miejsca?

Starzec, nie czekając na odpowiedź, powolnym krokiem ruszył przed siebie. Po paru minutach, gdy opuścili najbogatszą część miasta i weszli w zatłoczoną i głośniejącą dzielnicę handlową, ponownie się odezwał.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie chciałem z doktorem rozmawiać przed pałacem. Nazywam się Owidusz i jestem nauczycielem młodej paniuki Leokadii. Zanim przejdziemy do dalszej rozmowy, proszę powiedzieć co z moją podopieczną. Żyje?

— Żyje, jej życiu nie zagroza żadne większe niebezpieczeństwo – powiedział Mordekai, idąc powolnym krokiem obok drobnego starca.

— Chwała niebiosom – wyszeptał Owidusz, przystając na chwilę w miejscu – teraz proszę mnie uważnie wysłuchać. Paniuka znalazła się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Mleci doktora o niej poinformować ludzie, którzy przynieśli doktorowi w nocy paniukę, ale podobno wygonili ich doktor, mówiąc, że jak zaraz nie opuszczą doktora gabinetu, to paniuka umrze.

Mordekai nie odezwał się, potwierdzając tylko słowa starca skinieniem głowy. Rzeczywiście nie był wtedy wyjątkowo wylewny.

— Jak doktor pewno doskonale wie, metody, które doktor stosuje, kłócą się trochę z doktryną Wielkiej Inkwizycji, a moja Pani robi wszystko, by mieć z nimi jak najlepsze stosunki. Jakbyś dowiedziała się, że na jej córce przeprowadzono nieboski zabieg, natychmiast wydałaby ją Mauricio na spalenie.

— Własną córkę? – zapytał zdziwiony lekarz – W takim razie, po co ją do mnie w ogóle wysłała, od razu było trzeba ją na stos wrzucić.

— No właśnie w tym rzecz, że nie wysłała jej do doktora. Szczerze mówiąc, to choroba pamiętki nawet ją ucieszyła – starzec zamilkł i przez chwilę szli w ciszy, mijając niemałe tłumy ludzi. Skreślił w jedną z mniejszych alejek, oddalając się od tętniącej życiem części miasta – paniuka cierpiała z dnia na dzień coraz bardziej. Moja Pani naturalnie wezwała z dwóch czy trzech lekarzy, jednak żaden z nich nie zdążył nic konstruktynego. Raz nawet zaszczyciła skrecającą się z bólu córkę swoją obecnością. Byłem przy tym. Nie potrafiła całkowicie ukryć lekkiego uśmiechu zadowolenia.

— Nie. Jak ją mijaliśmy, to choć my jej nie rozpoznaliśmy, to ona z pewnością rozpoznała nas. Wątpię, by kontynuowała wędrówkę drogą a w lesie tak łatwo jej nie znajdziemy. Za to wiemy, gdzie zmierza. Sama do nas przyjdzie.

* * *

Siedzieli w ciszy na stojącym w bezruchu wozie.

— A więc, żyjemy – stwierdził po chwili Mordekai – nazwałbym to pewnym sukcesem.

— Wydałeś im Freję! – zapłakała Leokadia – Wydałeś ją inkwizycji i zrobiłeś to, jakbyś opowiadał im o zemiakach! Nawet się przy tym nie skrzywiłeś!

Lekarz spojrzał na Leokadię. Była przestraszona, wściekła i jednocześnie szczerze śliwa, że ciągle żyła.

— O Freję się nie martw, poradzi sobie – powiedział spokojnie – bardziej martwi mnie fakt, że wydałem im swojego jedynego przyjaciela. Ładnie odpłaciłem mu za całą otrzymaną pomoc. Coś czuję, że będzie mnie to przesładowało do końca życia – odwrócił od dziewczyny wzrok i spojrzał przed siebie – niestety jak chciałyśmy przeżyć, to nie mogłem skłamać. Co by o Mauricio nie mówić, nie zostałby tym, kim jest, gdyby był idiotą. Przed takimi ludźmi się nie kłaniam – złapał lejce i pogonił konia.

* * *

Wioska składała się z kilkunastu gospodarstw i karczmy. Był już wieczór, w porozrzuconych dość daleko od siebie budynkach paliły się światła. O tej porze jedynymi ludźmi przebywającymi na dworze były bawiące się przy drodze dzieci. Pochłonięte zabawą nie zwracali na nich nawet najmniejszej uwagi.

— Gotowa? – zapytał Sulim, wyciągając rękę w stronę kłamki karczmy.

Freja kiwnęła głową i przekroczyła próg. W środku przebywała trójka czerwonych już na twarzach mężczyzn. Zmęczeni i podpić tego wpatrywali się w sufit.

— Wczoraj padła mi mułka na stara – wymamrotał jeden z nich – takie mleko dobre dawała...

— Wiemy, mówisz nam to już raz dziesiąty – powiedział inny.

— Ale nadal mi smutno...

Sulim z Freją podszli do lady i po chwili wynurzył się spod niej brodaty karczmarz. Spojrzał wymownie na przybyszy, dając im do zrozumienia, że ich nie zna.

— Podróżowaliście razem do miasta – zaczął Sulim – ale moja siostra nagle źle się poczuła.

Karczmarz powoli przeniósł wzrok z muzyka na Freję. Wyrażnie podkrążone oczy i blade jak kreda skóra nie pozostawiały najmniejszych złudzeń.

— Złoczyłszy więc z trasy by wydobrzeła – kontynuował – chcieliśmy w tym celu wynająć pokój.

Jeden z gości karczmy, słysząc rozmowę, odwrócił głowę w stronę przybyszy. Ujrzał uzbrojoną w łuk upiorkę. Przyglądał się białej jak kość twarzy i opadającym czarnym włosom, po czym zerwał się z krzesła.

— Nie wystarczy ci ma krowa, demonie? – krzyknął maniakalnie, po czym wybiegł na zewnątrz, potrącając po drodze parę krzesel.

Przez dłuższą chwilę młot się nie odezwał. W końcu karczmarz westchnął cicho i zwrócił się do Sulima.

noc sniła ten sam koszmar. Uciekała w nim przez las, z tą książką w rękach. Sen kończył, gdy przebiegała ją strzała i upadała na ziemię. Twierdziła, że straciła pamięć i musi odzyskać tę książkę, by dowiedzieć się kim była.

Mauricio gestem ręki przerwał wypowiedź lekarza i zamyślił się na chwilę. Nagle zrozumiał. Zrozumiał, czego szukała, co znalazła i co ukradła złodziejka, którą zakon wydał mu na spalenia na stosie. Zrozumiał też, że zakon jakimś cudem nie wiedział, czego dokonała. Na czołe pojawiły mu się krople potu.

— Freja trafiła do mnie ponad dwa tygodnie temu – kontynuował Mordekai – zabrałem ją z domu kupca Abnera, gdzie zastałem ją już nieprzytomną. Schroniła się u niego po ucieczce. O szczegółach ucieczki nigdy się nie pytałem. Freja twierdziła, że książkę miała przy sobie, gdy trafiła do kupca i tam ona prawdopodobnie została.

Mordekai streścił wydarzenia dwóch ostatnich tygodni swojego życia. Inkwizytor słuchał w ciszy, czekając, aż skończy.

— Powiedz mi, kim według ciebie jest Freja? – zapytał w końcu.

Lekarz zamyślił się, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Jeżeli pominiemy historię z piorunem, uznając ją za dziwny zbieg okoliczności, to bez wahania powiedziałbym, że złodziejka, która straciła pamięć na skutek bliżej nieokreślonego wypadku. Przez czas, który z nami spędziła, wydała się normalną kobietą. Problem w tym, że wydarzenia tamtej nocy nie wyglądały na zbieg okoliczności.

Mauricio spojrzal na siedzącego przed nim na klęczkach człowieka. Zastanowił się co zrobić.

— Czemu jej pomogłeś? – zapytał.

— Czemu miałbym nie pomóc nieprzytomnej kobiecie? Jestem lekarzem. Składałem przysięgę.

— Przecież wiedziałeś, że była skazaną na śmierć przez inkwizycję wiedźmą.

— Z całym szacunkiem dla Waszej Eminencji, jestem człowiekiem wykształconym, średnio mi wychodzi uznawanie istnienia wiedźm, smoków i czarodziejów.

Inkwizytor westchnął i spojrzal na Szprotę.

— Młodszy Sierżancie, czy odczuwacie jakkolwiek potrzebę zemsty na tym człowieku za śmierć swoich podwładnych?

Szprotą ostrożnie zaprzeczył kiwnięciem głowy.

— Leokadio – inkwizytor zwrócił się do ciągle skulonej dziewczyny – masz przy sobie jakkolwiek bizuterię, najlepiej coś z herbem swojego rodu?

Dziewczyna niepewnie kiwnęła głową i ściągnęła z szyi niewielki wisiołek. Podała go stojącemu obok strażnikowi.

— A więc oficjalnie, z tą chwilą włączenie, nie żyjesz – kontynuował – Gratuluje, to już drugi raz w przeciągu tego miesiąca, powinnaś być już w tym do bra – ponownie spojrzal na Szprotę – młodszy sierżancie, jedziemy do miasta. Musimy dotrzeć tam przed pewną kobietą.

Szprotą wydał polecenie pozostałym strażnikom i bez słowa ruszyli w drogę.

— Młodszy sierżancie powiedz mi, proszę, dlaczego nie kazałem ich zabić – zapytał po dłuższej chwili inkwizytor – przecież powinienem był kazać ich zabić, zaraz po tym, jak zdobyłem potrzebne mi informacje.

Szprotą instynktownie rozpoznał pytanie, na które nie należało odpowiadać. Po mistrzowskiu je przemilczał.

— Wasza Eminencja powiedziała, że mierzymy do miasta. Nie próbujemy schwytać wiedźmy? – zapytał, zmieniając temat.

— Rozumiem, że istnieje dla tego jakiś powód? – zapytał milczący już od jakiegoś czasu Mordekai.

— Od kiedy to ludzie potrzebują powodów do nienawисти? – twarz Owidiusza wykrzywił paskudny uśmiech – Może przypomina jej o mężu? Nigdy nie odważyła się jednak jej pozbyć – zmienił ton na bardziej formalny – ale wróćmy do obecnych wydarzeń. Pewna pracująca u nas służąca obudziła mnie wczoraj w nocy. Powiedziała mi, że dwa lata temu jej brat cierpiał na podobną przypadłość. Uratował go wtedy niesławny doktor Mord. Opisała mi, na czym polegał zabieg i zrozumiałem, dlaczego nikogo wcześniej o tym nie poinformowała. Już sama opowiedzieć o nim, posłyszana przez nieodpowiednie uszy, mogła stać się wyrokiem śmierci dla niej i jej brata. Nawiele myśląc, natychmiast obudziłem paru przychylonych panience służących i poprosiłem ich, by znieśli ją do doktora. Rano poinformowałem moją Panią, że panienka nie przeżyła nocy i zapłaciłem odpowiednim ludziom odpowiednie kwoty pieniędzy, by sprawa nigdy nie wyszła na jaw.

Mordekai zamyślił się na chwilę. Nigdy nie potrafił zrozumieć pobudek, którymi kierowała się arystokracja, o Wielkiej Inkwizycji już nie wspominając.

— Więc Leokadia oficjalnie nie żyje. Nie, żeby mi to jakoś specjalnie przeszkadzało, ale jak nie może wrócić do swojego pałacu, to co dalej z nią będzie?

Owidusz zaśmiał się nerwowo. Nie znał odpowiedzi na to pytanie.

— Zgodziłby się doktor, by na razie została u doktora? Zapewniłby jej pan jednocześnie niezbędną opiekę medyczną.

Mordekai westchnął cicho. Nie miał zamiaru brać sobie na głowę kolejnego problemu, z którym nie wiadomo co zrobić. Czyim mogła zająć się była arystokratka w wieku lat szesnastu? Jedna odpowiedź nasuwała się natychmiast, ale nawet nie chciał jej brać pod uwagę. No cóż, stary Owidusz namieszał, to niech teraz cierpi. Okrutny doktor Mord nie mógł przecież pomagać losowo napotkanym osobom. Westchnął ponownie, uswiadamiąjąc sobie, że podjął już decyzję.

— No dobrze, zaopiekuję się nią – powiedział powoli.

Starzec rozpromienił się i serdecznie uściśnął mu rękę.

— Doktor wybacz, ale muszę wracać do pałacu, zanim zorientują się, że mnie nie ma. W niedalekiej przyszłości spróbuje się jakoś z doktorem skontaktować.

Owidusz odwrócił się i szybkim krokiem odszedł, zostawiając lekarza samego w jednej z bocznych uliczek niedaleko posiadłości baronowej. Mordekai uswiadomił sobie, że prawdopodobnie już nigdy w życiu nie ujrzy na oczy ani Owidiusza, ani pieniędzy za wykonany zabieg i długoterminową opiekę. Uswiadomił sobie też, że właśnie dał sobie wcisnąć szesnastoletniego rozpieszczonego bachora, prawdopodobnie z mocno nadwyżrzoną psychiką.

— Cholera jasna – krzyknął, uderzając pięścią w ścianę.

Przecież nie mógł wyrzucić jej na ulicę, mówiąc „*baw się dobrze*”. Przemierzał miasto w paskudnym nastroju, gdy wpadł na genialny pomysł. Gdy wiedźma wreszcie się ocknie, odda jej dzieciaka, niech go zabierze w cholerę. Tak to było do brym rozwiązaniem, pozostawał problem wybudzenia wiedźmy. Na pewno w którejś z książek znajdzie opisane podobne objawy, w końcu tysiące ludzi na świecie zajmowało się medycyną. Stanał przed swoim mieszkaniem i przyjrzał się mu. Stojący samotnie na skraju rzeki niski, murowany budynek nie miał specjalnie masywnych drzwi. Nikt nie był na tyle głupi, by włamywać się do domu jedynego lekarza trudniącego się łataniem złodziei. Z przechodzącej nad drzwiami rynny wygrzebał mały klucz i przekręcił zamek. Wszedł do środka, rzucił, bardziej niż odłożył, płaszcz na wie-

szak i poszedł prosto do sypialni zobaczyć co u jego współlokatorów. Leokadia leżała oparta o ścianę tak jak ją zostawił, ciągle czytając książkę.

— Witaj dziewczę ty moje, co u naszej wiedźmy? – zapytał spokojnie. Z rąk dziewczyny wypadła książka. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że obok niej ktoś stoi. Obróciła głowę i spojrzała na lekarza.

— Dowiedziałaś się paru ciekawych rzeczy – kontynuował – po pierwsze oficjalnie nie żyjesz, po drugie matka cię nie kocha, po trzecie nikt mi najprawdopodobniej nie zapłaci – zamilkł na chwilę, zastanawiając się, czy nie powiedział tego trochę za brutalnie – ach, i twój nauczyciel to kawał starej szui, ale najwyraźniej cię lubi. Pośrednio przyniósł cię tu w nocy, mistyfikując przy tym swoją śmierć.

Oszolomiona dziewczyna wzięła parę głębokich oddechów. Mlczła przez dłuższą chwilę.

— Co się ze mną teraz stanie? – szepnęła ostrożnie.

— Jak na razie zostaniesz u mnie. Osobiście mam nadzieję, że jak nasza wiedźma w końcu się ocknie, to cię ze sobą gdzieś zabierze. Nie chciałabyś być uczennicą wiedźmy? Na pewno będziesz się przy tym świetnie bawiła.

Skrzywiła się, słysząc, jak zmienia temat. Nie próbowała jednak do niego wracać. Zamknęła oczy, tłumiąc rozszalałe myśli.

— Zagraj coś kojącego – poprosiła – może uda mi się usnąć, chociaż na godzinę. Sulim bez słowa chwycił swoją lutnię. Barwne nuty powoli rozszczyły się w nocnym powietrzu. Zastanowił się chwilę co zagrać. Gdy w końcu wybrał odpowiednią pieśń, spojrzał jeszcze raz na Freję. Już spała.

* * *

Mauricio powoli wszedł z konia i rozprostował obolale po długiej jeździe nogi. Spojrzał na groźnie umieszone miejsce swoich strażników, po czym na dwie postacie siedzące na zatrzymanym wozie. Mężczyznę widział po raz pierwszy. Nie wyglądał on na specjalnie przejętego. Uśmiechał się nawet przyjaźnie. Inkwizytor przeniosł wzrok na siedzącą obok śmiertelnie przerażoną dziewczynę. Choć zafarbowała i ścięła krótko włosy, poznał ją natychmiast. Mauricio za często zmuszany był chodzić do baronowej, by nie poznać jej rozdzonej córki.

— Leokadio, słońce – powiedział spokojnie – oraz doktorze Mordakai, jak mnie-mam, powiedzcie mi, proszę, gdzie jest wasza towarzyszka, wiedźma.

— Witam Waszą Ekscelencję Wielkiego Królewskiego Inkwizytora – odparł grzecznie lekarz – pokłoniłbym się nisko się, by oddać swój szacunek, ale chwilowo nie mam jak.

Mauricio kiwnął lekko palcem w stronę Szproty i przyglądał się, jak młodszy sierżant ściągając lekarza z wozu i beceremonialnie wija mu pięść w brzuch. Mordakai zgiął się w pół, uderzając kolanami o ziemię.

— Przepraszam za to – kontynuował inkwizytor – ale szanowny doktor najwyraźniej nie rozumie sytuacji, w jakiej się znalazł. Zginęło dwóch moich ludzi. Jestem lekko wyprowadzony z równowagi.

— Chętnie powiem wszystko, co wiem – powiedział lekarz, prostując się z trudem – ale pod warunkiem, że pozwolisz nam odjechać. Nigdy więcej już nas nie zobaczysz. Inkwizytor westchnął, przewracając oczyma, Leokadia krzyknęła cicho, pięść szproty bezgłośnie zatoczyła kolejny łuk w powietrzu. Mordakai ponownie upadł na kolana.

— Z każdą sekundą twoja wiedźma oddala się od ciebie o kolejne metry – wyszeptał, z trudem łapiąc oddech – a ja proszę o naprawę niewiele. Naprawdę powiem wszystko, co o niej wiem.

Szprotą spojrzał pytająco na inkwizytora. Ten gestem kazał mu zaczekać, po czym zamyślił się na chwilę.

— Powiesz mi, co wiesz. Wtedy uznam czy te informacje były warte darowania wam życia – stwierdził w końcu.

— Raczej nie mogłbym prosić o nic więcej – wyszeptał lekarz, starając się uśmiechnąć – zaczęłam od tego, co pewno najbardziej cię interesuje. Freja, bo tak nazywać się kazala twoja wiedźma, jest w tej chwili jakies trzy dni pieszej wędrówki od miasta. Prawdopodobnie nawet minąłeś ją, ścigając nas.

Na opanowanej dotąd twarzy inkwizytora na chwilę dało się zauważyć krótki przebieg paniki. Przypomniat sobie koibetę, która wczoraj wydała mu się być ważną. Teraz skojarzył ktm była. Lekarz widząc jego reakcję, kiwnął lekko głową.

— A więc mijaliście ją, co znacznie upraszcza sprawę – kontynuował – wróciła się po pewną książkę. Niechętnie o niej wspominała. Raz opowiedziała nam, że co

— Nie zapominaj, że jestem wędrownym muzykiem, odwiedzam różne dziwne miejsca. Powiem, że przed występami w mieście chcę odpocząć gdzieś, gdzie jest cicho i spokojnie. Póki będę grał, wątpię, by ktokolwiek miał jakiegokolwiek wątpliwości.

— A co ze mną?

— Moja siostra, kuzynka, współniczka, towarzyszka wybierz sobie cokolwiek. Uniesiesz śpiewać?

— Nigdy nie sprawdzałam – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

— To się dowiemy wieczorem, ale raczej dasz radę. Nawiele potrzeba by się spodobać wieśniakom, a grajek podróżujący ze śpiewaczką to już chyba najbardziej sztanpowa rzecz, jaka może się trafić.

Freja ponownie kiwnęła głową na znak zgody i oddała Sulinowi zwinętą mapę. Co prawda chciała jak najszybciej dostać się do miasta i odzyskać książkę, ale jej obecny stan na to nie pozwalał. Pozostawało mieć nadzieję, że ciepła kąpiel oraz miękkie łóżko choć trochę jej pomogą. Oczywiście zakładając, że w wiosce będzie jakakolwiek gospoda. Sulim zastanowił się przez chwilę czy nie skorzystać z okazji i nie zadać jej paru dodatkowych pytań. Kim jest albo dlaczego tak usilnie zmierza do miasta? Odłożył je jednak na później. Cicho wzdychając, zaczął sakwę na grzbiecie konia. Uniósł lutnię i zaczął ponownie grać przerwaną pieśń.

* * *

Sulim wpatrywał się w skaczące płomienie ogniska, zastawiając się czy spotkał się w życiu z większym antytalentem. Śpiewaczki z niej nie robi, nie oszukałaby nawet całkowitego ignoranta.

— To może siostra? – zapytała cicho Freja – Siostra brzmi sensownie, każdy może podróżować ze swoją siostrą.

Co ciekawe problemem nie był tu jej głos. Nie był on specjalnie zły, może nie specjalnie barwny, ale o przyjemnym, ciepłym brzmieniu. W mowie potrafiła się nim posługiwać po mistrzowski. Najwyraźniej nie każdemu dane było w życiu śpiewać.

— Obawiam się, że ludzie w wiosce mogą się krzywo na to patrzeć – opowiedział – młode kobiety nie wędrują losowo po świecie ze swoim rodzeństwem – przyglądał się jej męskim ubraniom – ale chyba nic lepszego nie wynisłimy. Samotny bard podróżujący ze swoją siostrą łuczniczką – uśmiechnął się, grzebiąc patykami w ogniu – trudno było się nie roześmiać.

Oboje zamilkli na dłuższą chwilę, błędząc myślami daleko od małego obozowiska. — Wczoraj w nocy próbowałam strzelać z łuku – powiedziała w końcu Freja – byłam w stanie po ciemku trafić w oddalone o sto metrów drzewo. Minęło jednak parę godzin, zanim się mi to udało – Freja położyła się na ziemi i spojrzała na czyste nocne niebo. Wstchnęła cicho – Dlaczego – zapytała – dlaczego, nigdy nie zadasz mi żadnego pytania? Widziałeś, jak zabijam dwójkę ludzi, widziałeś ścigającą mnie inkwizycję, po czym bez słowa idziesz obok mnie?

Muzyk wrzucił trzymany w rękach patyk do ogniska. Ano rzeczywiście sensu to nie miało. Najmniejszego. Co zrobić. Odwrócił się w stronę leżącej kobiety, spoglądając jej w oczy.

— Będziesz chciała, to sama mi powiesz, po co mam cię zmuszać? Bardziej martwi mnie fakt, że nie przespalaś zeszłej nocy.

Rozdział III

Minał długi i ciężki tydzień. Leokadia stała w małej łazience z nożyczkami w ręku. Wpatrywała się w swoje odbicie w wiszącym na ścianie lustrze. Musiała przyznać, że otrzymane od Mirii ubrania leżały na niej nie najgorzej. Surowej, prostej sukni daleko było do bogato zdobionych szat. Odkryła jednak, że specjalnie za nimi nie tęskniła. Zaciśnęła zęby i na bezdechu paroma szybkimi ruchami ścięła krótko swoje włosy. Oddychając głęboko, przyjrzała się swojej twarzy i ujrzała spływającą po policzku łzę. Zasmiała się nerwowo. Tyle rzeczy wydarzyło się wokół niej, a ona zapłakała dopiero nad włosami. Nożyczki wypadły jej z ręki i z głośnym brzdękiem uderzyły o ziemię, zagłuszając na chwilę cichy szloch.

— Nie wygłupiaj się – usłyszała zza drzwi – odrosną.

Uspokoila się, ocierając rękawem łzę i podniosła z ziemi małą butelkę. Przyjrzała się gęstej brązowej cieczy. Przybliżyła do nosa odkorkowane naczynie i pociągnęła nosem. Krzywiąc się, stwierdziła, że wąchanie barwników było w ogólności złym pomysłem. Ostrożnie wylała trochę na głowę i zaczęła wcierać we włosy. Monotonną czynność przerwał jej głośny okrzyk bólu. Nie zrażała się jednak tym specjalnie. Przez ostatnie siedem dni zdążyła się już przyzwyczaić. Umyła w misce ręce i usiadła pod ścianą, czekając, aż barwnik wniknie we włosy. Dzisiaj miała pierwszy raz od dawna wyjść na miasto. Choć ta myśl dodawała jej trochę otuchy, daleko jej było do szczęścia. Policzyła w myślach do tysiąca i podeszła do miski, unyć włosy. Nie spieszyła się, starannie pozbywając się oleistej cieczy. Gdy wreszcie wytarła głowę w ręcznik, ponownie spojrzała w lustro. Wąpiła, by ktokolwiek ją poznał, sama miała z tym problemy. Odwróciła wzrok, nie chcąc dłużej na siebie patrzeć i wyszła z łazienki. Na jej łóżku leżała nadal nieprzytomna Freja. Mordekai poświęcał cały swój wolny czas na próby jej wybudzenia. Jak na razie wszystkie skończyły się niepowodzeniem. Wymięła rozłożony na ziemi śpiwór i szarpnęła za klamkę od drzwi gabinetu. Lekarz kończył właśnie szyć rozległą ranę na plecach groźnie wyglądającego oprycha. Dwie głowy powoli przekreśliły się w jej stronę i poczuła na sobie badawcze spojrzenia.

— Przedstawiam ci moją bratanicę, Leokadię – powiedział Moredekai, powoli wracając do przerwanej czynności – z jakiegoś powodu zostałem wrobiony w mieszkanie z nią, póki czegoś albo kogoś sobie nie znajdzie.

Zarośnięty olbrzym uśmiechnął się do niej paskudnie. Jej kontakt ze światem zewnętrznym po tygodniu izolacji zaczynał się fantastycznie. Gdy się dłużej nad tym zastanowiła, to tak naprawdę po szesnastu latach izolacji.

— No, skończyłem – powiedział Mordekai, odcinając mi – jak będzie się cokolwiek z raną działo, to bezwzględnie przyjdź do mnie. Za dwa tygodnie zdjęję ci szwy.

— Dziękować doktorowi – rzucił pacjent, wstając.

— No, a teraz wynocha z mojego domu, zanim całkowicie przesiąknie twoim odorem.

Oprych spojrział na skrajnie chudą postać lekarza i usmiechając, skierował się w stronę wyjścia. Trzasnęły drzwi i lekarz zamurzył ręce w musce z wodą.

— No, to za jakieś cztery godziny całe miasto będzie wiedziało, że mieszka u mnie bratanica – powiedział, strzepując wodę z dłoni – a teraz podejdź, przyjrzyj się ci.

Leokadia nieśmiało podeszła do lekarza i poczuła na sobie jego badawcze spojrzenie. Złapał kosmyk jej włosów i potarł go w palcach, sprawdzając, czy barwnik się trzyma. Okrążył ją dookoła, po czym dokładniej przyjrzał się twarzy.

— Jak tam brzuch, nadal boli? – zapytał w końcu.

— Do cholery powiedz, jak wyglądam, a nie pytaj jak się czuję – krzyknęła, aż ściany zadrażały¹.

Mordekai zaśmiał się, zdejmując z siebie zabrudzony krwią fartuch i usiadł na krześle.

— Żaden ze mnie znawca piękna – powiedział, usmiechając się – przydaj się lepiej do czegoś i posprzątaj gabinet. Jak skończysz, wyjdźmiemy na miasto i pokażę ci jak trafić na targ.

* * *

Owidiusz leżał na chłodnej podłodze lochu, cierpliwie czekając na swój koniec. Z trudem podniósł okrwawianą rękę i przyjrzał się jej. Zaśmiał się cicho, uważając, by nie brać przy tym za głębokich oddechów. Łapówki najwyraźniej okazały się zbyt niskie. Ktoś go musiał sygnąć. Niesamowicie co ból robił z człowiekiem. Szanse przeżycia jego wychowania gwałtownie przez to zmalały. Nie skreślał jej jednak jeszcze. Zostawił ją kompetentnych rękach.

* * *

Sierżant siedział w swoim gabinecie. Wziął tyk skonfiskowanego alkoholu, otwierając jedną z szuflad swojego biurka. W środku leżał spory mieśszek pieniędzy i anonimowa „prośba”. Oba te przedmioty pojawiły się w jego gabinecie parę dni po schwytanu wędzmy. Zrestęta, jaka tam z niej wiedźna, przecież był przy tym, jak ją złapać. Zwykła złodziejka uciekająca ze skradzioną ksiązką. Ksiązką zapomnianą, niezoznamiałny dla niego znakami. Rozwinął mały świstek i ponownie przeczytał jego zawartość.

„Drogi Sierżancie Straży Miejskiej, zwracam się z uprzejmą prośbą o umożliwienie naszej drogiej przyjaciółce ucieczki. Będzie nam niezmiernie przykro, jeżeli spłonie na stosie, na dowód czego zostawiony skromny podarek.

Z pozdrowieniami, Gilbha.”

Krzywiąc się, wrzucił notkę do ognia. Ta sprawa ciągle nie dawała mu spokoju. Wszystko zaczęło się dwa miesiące temu. Mauricio kazał strażę otoczyć i strzec jed-

¹ Dovahkiin, fah him kogaan mu draali!

wady, czasem zdarzało się jej kogoś zamordować, ale przecież nikt nie był idealny, prawda?

* * *

Dwa dni minęły odkąd Mauricio, wraz z trzema strażnikami, ruszył w pogoń za Freją. Skrajnie wyczerpany inkwizytor zmuszał się do dalszej podróży jedynie czystą siłą woli. Przez krótką chwilę jego przemęczony wzrok spotkał się ze wzrokiem mijanej kobiety. Szła obok młodego mężczyzny pobrząkającego na linze. Ubrana była w męskie ubrania. Na plecach miała luźno zawieszony huk. Mauricio wpatrywał się w jej oczy, starając się zrozumieć, dlaczego ta osoba wydała się mu być ważna. Rozpędzony koń szybko jednak pognął dalej, zostawiając kobietę daleko z tyłu.

* * *

— Właśnie minął nas Wielki Królewski Inkwizytor wraz ze swoją świtą – stwierdziła Freja, nie przerywając marszu.

Sulim odsunął od strun palce i szeroko otworzył usta. Spojrział na spokojną twarz swojej towarzyszk.

— Nie poznał mnie – kontynuowała, widząc jego osłupiały wzrok – szuka wozu uciekającego za granicę, a nie dwojga ludzi z koniem, zmierzających w stronę miasta – po krótkiej pauzie dodała – choć pewno niedługo się to zmieni.

Maszerowali dłuższą chwilę w ciszy. Niewiele rozmawiali, odkąd zostawili za sobą pałacy się wóz. Freja, choć usilnie starała się tego nie okazywać, czuła się fatalnie. Przez ostatnie noce praktycznie nie spała, bojąc się zamykać oczu. Jej kosmary stały się przynajmniej bardziej urozmaicone. Teraz nie tylko uciekała z ksiązką w rękę, ale również mogła podziwiać, jak własnoręcznie morduje czwórkę ludzi. Wyńczczona psychicznie średnio miała ochotę rozmawiać z kimkolwiek. Sulim wydawał się to zauważać, gdyż nie zadawał jej zbędnych pytań, idąc obok bez słowa. Spojrzała na niego. Usilnie szukała czegoś w swojej sakwie. Zastanowiła się, co by się z nią stało, gdyby wieczorami nie podtykał jej pod usta miski i nie nakłaniał, by coś zjadała. Sama by się do tego nie zmusiła. Jedzenie stawało jej w gardle. Sulim wyciągnął w końcu ze środka zwinięty pergamin i wcisnął go jej w ręce.

— Mapa – stwierdziła, przyglądając się otrzymanemu przedmiotowi – po co pokazujesz mi mapę?

— Jeżeli do brze rozumiałem zaistniałą sytuację, to dalsza wędrówka bez zmiany trasy źle się dla nas skończy – powiedział krótko.

Freja spojrzała mu w oczy. Niewątpliwie Mauricio za jakieś dwa dni ponownie ich minie, a wtedy już raczej ją pozna. Nie zastanawiała się jeszcze co z tym zrobić, zbytnio zajęta była marzeniem o godzinie nieprzerwanego snu. Lekko kiwnęła głową i rozwinęła w rękach pergamin.

— Co proponujesz? – zapytała.

— Skreślmy tutaj – powiedział, wskazując palcem punkt na mapie – jutro wieczorem powinniśmy się znaleźć w tej wiosce. Opcyjny pobyt w gospodzie i przekazany tam tydzień, po czym wyruszamy ponownie do miasta.

— Czym się tam ludzie zajmują?

— Wydaje mi się, że tylko uprawą roli. Zaopatrują miasto w zboże.

— Nasz pobyt nie wyda się mieszkańcom podejrzany?

drzwi wozu i zagladnęli do środka. Ujrzeni przyczeplone do ścian łańcuchy zakończono-
ne kłaniami na ręce i nogi. Poza nimi wnętrze było puste, pomijając dwie beczki
z zapasami.

— No to już wiemy, czemu tak chętnie zabrali mnie ze sobą – powiedział Sulim
– dostaliby za mnie pewno niezlą kwotę. Niewolnik muzyk! Możesz kazać mu nosić
kamienie oraz grać na lutni! Czasem nawet zaśpiewał!

— Czy powinien się teraz poczuć lepiej? – zapytała Freja – Bo czuję, że mam
taką samą depresję, jaką miałam.

— To wyobraź sobie, co by się z tobą stało, gdybyś się nie obronila. Jak się im
wczoraj musiały oczy zaświecić, gdy cię ujrzeni.

Bez przekonania kiwnęła głową i podeszła do stojących w kacie beczek. Jedna
wypełniona była suszonym mięsem, druga różnymi narzędziami. Chwyciła niewielki
szpadel.

— To ja pójdę kopać dół. Postaram się, by jego głębokość oddała mój stan
emocjonalny – powiedziała, wychodząc na zewnątrz.

— Zaakompaniować ci? Znam parę wystarczająco przygnębiających utworów.

— Dopiero co dołączył, a już taki użyteczny!

Grając, Sulim patrzył się, jak jego nowa towarzyszka pracuje. Teraz jej suknia
nie tylko była ochlapana krwią, ale też pokryta ziemią. Nagle przyszedł mu do głowy
genialny pomysł. Przestał grać i podszedł do jednego z ciał. Przyglądał się jego
ubraniu, po czym zaczął je ściągać.

— Co robisz? – zapytała Freja, stojąc w dole, będącym fizyczną manifestacją jej
uczuć.

— Nie możesz iść dalej w tej sukni. Rzucasz się w oczy bardziej od... od... czegoś,
co bardzo rzuca się w oczy – podszedł do niej, trzymając w rękach zdjęte ubranie –
przycisnij do ciała suknię, zobaczę, o ile trzeba skrócić.

— Kobieta w męskich ubraniach nie będzie rzucała się w oczy? – zapytała,
wykonując jego polecenie.

— Gdzieś w obozie widziałem huk. Zarzucisz sobie go na plecy, ludzie pomyślą,
żeś myśliwa¹.

Wykonał parę szybkich pomiarów i wyjął ze swojej sakwy igłę i nić. Gdy Freja
skończyła zasypywać ciała ziemią, siedział zadowolony przed przerobionymi ubra-
niami. Ostrożnie wzięła w ręce brązową koszulę i powąchała.

— Nawet tego nie przymierz, póki nie zostanie to porządnie uprane. Spodni
boję się podnosić.

— Ale co z ludźmi, których spotkam, zanim dojedziemy do rzeki?

— Będę miała na plecach huk, powiem, że polowałam na niedźwiedzie, a one
wyjątkowo obficie krwawią.

Nie miał zamiaru się kłócić. Rozprzegli konia i umieścili na nim wszystko, co było
sens zabierać. Miel już wyruszyć, gdy Sulim ogłądał się na stojący samotnie wóz.

— Spalmy go – powiedział nagle – nie wiem czemu, ale czuję, że zrobimy wtedy
przysługę wszystkim ludziom, którzy stracili przez niego wolność.

Zostawiając za sobą skaczące po suchych deskach płomienie, ruszali przed siebie.
Muzyk spojrział na idącą obok niego kobietę. Uśmiechnął się. Jego spontaniczna
pogoń za całkowicie nieznaną mu kobietą zakończyła się sukcesem. Może miała swoje

¹słowo nie występuje w słowniku języka polskiego, ale Sulim o tym nie wie. Autor oddaje
skromny pokłon językowi angielskiemu i słowu huntress.

na z placówek inkwizycji. Zakon twierdził, że tego dnia planowała ich okraść gildia
złodziei. Co zrobić, wziął swoich ludzi i wypełnił rozkaz. Placówka położona była
w środku lasu, oddalona o dobrą godzinę od miasta. Tamtej nocy siedział sobie
spokojnie schowany w krzakach, gdy nagle z pilnowanego wejścia wystrzeliła ubrana
na czarno sylwetka. Po dłuższej pogoni jednemu z jego ludzi udało się postzelic ją
w plecy. Podeszedł do niej wtedy jako pierwszy. Okazała się całkiem młodą kobietą,
w rękach kurczowo ściskającą niewielką czerwoną książkę. Gdy spojrział właśnie na tę
cholerłą książkę, stało się coś trudnego do wytłumaczenia. Słyszając bliżej nieokreślo-
ny, niemy rozkaz wyciągnął ją z rąk złodziejki i schował za pancerzem. Tak oto nikt
nigdy nie dowiedział się, co ukradła. Po paru tygodniach widząc, w jakim stanie prze-
kazano ją straż, podejrzewał, że inkwizycja dolożyła sporo starań, by spróbować
z niej to wyciągnąć. Podejrzewał też, że bezskutecznie. Czując się niebezpośrednio
winnym za męki, których musiała doświadczyć, postanowił jej pomóc. Sierżant wes-
tchnął głęboko. Jednym łykciem opróżnił szklankę i zamknął szufladę. Nie było co
nad tym dalej rozmyślać. Złodziejka, jak ją nazwali... Freja, zniknęła i wraz z nią
zniknęła książka. Teraz trzeba było o wszystkim jak najszybciej zapomnieć.

* * *

— Mordekai, co to za dziewczyna się za tobą włóczy? Chyba nie zmusiłeś jakiegoś
młódki, by była twoją żoną? Muszę przyznać, że masz ciekawy gust.

Lekarz westchnął, parząc na sprzedawczynię. Czy każda spotkana dzisiaj osoba
musiała mówić to samo? Leokadia przez to nie przestawała się czerwienić.

— Tak Dagno, bardzo zabawne, ale jesteś już trzydziestą osobą mówiącą mi ten
sam dowcip i zrobił się on już naprawdę nudny. A teraz daj mi kilogram kaszy.

Dagna spojrzała agresywnie na Leokadię.

— Kim jesteś? – rzuciła w nią niczym kamieniem.

— Daj mojej bratanicy spokój, poczwaro jedna. Pierwszy raz w mieście jest.

* * *

Liwia od czterech lat pracowała jako służąca Baronowej. Było stosunkowo młoda,
jeszcze nie zamężną kobietą z brakiem perspektyw na przyszłość. Nie narzekała jed-
nak. Praca nie była najcięższa, a miała zapewnione wygodne miejsce zamieszkania
oraz syte posiłki. Siedziała w kuchni, pomagając kucharkom w obieraniu ziemnia-
ków. Plotkowały przy tym w najlepsze.

— Co się stało z Owidiuszem? – zapytała nagle – nie widziałam starucha od
paru dni.

— Podobno po śmierci paniuki wyjechał z miasta w nieznane.

— Ja słyszałam, że zwirował i skoczył do kłifu z morza! Albo do morza z kłifu.
Jakoś tak.

— Czekaście – przerwała im Liwia – czyli nikt z was go nie widział?

— Nie – powiedziały razem.

Obok pracujących kobiet przechodził szef kuchni i słysząc ich rozmowę, nachylił
się i dorzucił swoje trzy grosze.

— Ja, moje drogie panie słyszałam, że oskarżono go o przeprowadzanie magicz-
nych rytuałów i teraz gnije gdzieś w lochach – podkurczył ręce i skrzywił się, udając
umierającego człowieka.

Livia położyła na ziemi nóż i gwałtownie wstała. Zrzuciła z siebie fartuch i pocąc się na twarzy, odwróciła się w stronę drzwi.

— Wybaczenie mi, przypomniałam sobie, że muszę zrobić coś bardzo ważnego – powiedziała drżącym głosem i rzuciła się biegiem w stronę drzwi.

Wiedziała, wiedziała, że nie powinna była wspominać Owidiuszowi o jej bracie i doktorze, który go wyleczył. Biegiem mijała kolejne korytarze, kierując się w stronę wyjścia z posiadłości. Żeby tylko zdążyła ich ostrzec.

* * *

Leokadia weszła do największego sklepu, jaki dotąd widziała. Rozglądnęła się po pomieszczeniu, wadząc wzrokiem po najróżniejszych towarach.

— W czym mogę pomóc? – rozległ się cichy głos.

Dziewczyna ujrzała stojącą przed nią Mirię. Nagle zrozumiała, dlaczego Mordekai chciał, by weszła do środka sama.

— Zwiędzłam miasto – powiedziała, starając się zmienić swój głos – i przyjaciel powiedział mi, że koniecznie muszę oglądać towary w tym sklepie.

Miria przez chwilę wydawała się przekonana, po czym spojrzała, przenikliwie w oczy Leokadii. Wybuchła gwałtownym śmiechem.

— Wybacz – powiedziała, ocierając łzy – to nie dlatego, że wyglądasz zabawnie – wzięła głęboki oddech, starając się uspokoić – gdzie nasz poczciwy doktor?

— Przed drzwiami – powiedziała, dając się Leokadii.

* * *

Mauricio przechodził właśnie przez ogród posiadłości Baronowej, gdy przebiegła obok niego młoda służąca. Przez sekundę spotkały się ich spojrzenia. Odwrócił głowę i popatrzył, jak na złamanie karku dobiega do bramy. Co go jednak interesowały sprawy służby? Wzruszył ramionami i poszedł dalej. Baronowa wezwała do siebie inkwizycję, więc postanowił potańczyć się do niej osobiście. Ciekawiło go, co tym razem wymyśliła ta obłąkana kobieta.

* * *

Leokadia szła usmiechnięta przed lekarzem, starając się samodzielnie trafić z powrotem do swojego nowego domu. Trochę błędził, ale ostatecznie dotarli do celu. Z daleka ujrzał kobietę opierającą się rękoma o ich drzwi. Cała czerwona na twarzy oddychała ciężko.

— Coś pani dolega? – krzyknął Mordekai, przyspieszając kroku.

Kobieta odwróciła się i spojrzała na podchodzące do niej sylwetki. Jej wzrok zatrzymał się na Leokadii. Poznała ją.

— Zdążyłam – wysapała – Baronowa... wie – przerwała, starając się złapać oddech – musiecie... uciekać.

— Przepraszam, ale o czym pani mówi – zapytał spokojnie lekarz.

— Owidiusz... złapany... tortury... – Livia z wysiłkiem wyrzuciła z siebie pojedyncze słowa.

Usmiechnięta twarz Leokadii wykrzywiła się w przerażeniu, gdy rozpoznała znajomą jej służącą. Mordekai nie był jednak człowiekiem skłonny do paniki. Stanał, chwilę myśląc intensywnie, po czym skierował wzrok na dyszącą kobietę.

raz oglądał ją w pełnym oświełeniu. Powinien był teraz odejść. Zostawić ją w otoczeniu dwóch trupów i powrócić do znanego mu świata. Ruszyłby z powrotem do miasta, udając, że ten dzień nigdy nie nastąpił. Po paru miesiącach pewnie by w to uwierzył. Jednak pokryta krwią Freja nie budziła w nim grozy ani strachu, raczej współczucie. Wyglądała, jakby miała nigdy nie wstać i w końcu umrzeć z głodu. Podeszedł do swojej sakwy. Wyjął ze środka butlak wody i szmatkę do czyszczenia łunni. Nie było co się oszukiwać, nie było mowy o odejściu. Kucał obok głowy leżącej kobiety i delikatnie wytarł jej twarz wilgotnym materiałem.

— Wstań – powiedział łagodnie – pogrzebiemy ich i ruszymy przed siebie.

Freja otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale ponownie je zamknęła.

— Bromiaś się – kontynuował muzyk.

Westchnął cicho, widząc brak jakiegokolwiek reakcji. Postanowił rozpalć ognisko. W garnku ciągle były resztki wczorajszej zupy. Podgrzał je i trzymając w rękach miszkę, ponownie podeszedł do Freji.

— Zjedz, poczniesz się lepiej.

Kobieta spojrzała muzykowi w oczy.

— Dlaczego? – zapytała bezbarwnym głosem.

— Bo nie będziesz głodna? – odpowiedział, starając się usmiechnąć, ale szybko zrezygnował – Po co zadawać pytania, na które nie ma odpowiedzi? Stało się, teraz trzeba żyć dalej.

Sulim zastanowił się, od kiedy potrafił wygłaszać takie kwestie. Najwyraźniej działały, bo kobieta podniosła miszkę i zaczęła powoli wypijać zawartość.

— Kim byli ci ludzie – zapytała cicho.

— Nie wiem, podróżowałem z nimi tylko trzy dni, za wiele ze sobą nie rozmawiałem.

Skończyła jeść i podniosła się ziemi. Podeszła do leżącego przed nią ciała i wyciągnęła sterczący z niego nóż. Chwilę wpatrywała się w zakrawione ostrze, po czym wytarła je o suknię i schowała w zawieszonej na pasku sakwie.

— Wszystko co o mnie wiesz, to, że zabiłam co najmniej cztery osoby, uciekałam z więzienia i ścięła mnie inkwizycja – odwróciła się i spojrzała mu w oczy – dlaczego mi pomagasz?

— Nie potrafię odnaleźć logicznego uargumentowania tej decyzji – powiedział, zgodnie z prawdą – więc chyba przestanę się nad tym zastanawiać – po chwili dodał – i chętnie pójdę z tobą, gdziekolwiek zmierzasz. I tak nie miałam żadnych szczególnych planów na przyszłość.

Freja przekrzywiła lekko głowę.

— Świat nie ma najmniejszego sensu – stwierdziła krótko – witałam więc w druzynie, jestem Freja, nie do końca człowiek. Z profesji prawdopodobnie złodziejka, acz ostatnio zaczynam podejrzewać, że bardziej zabójczyni. Moimi hobby to zabijanie ludzi piorunami, wbijanie ludziom noży w gardło, oraz, ostatnio niesamowicie modne, zamartwianie się nad sobą.

Nie czekając na odpowiedź podeszła do krytego wozu zaprzęgniętego w pojedynczego konia. Uderzyła pięścią w zamknięte na kłódkę drzwi.

— Co jest w środku? – zapytała.

Sulim wzruszył ramionami. Zabrali się więc za przeszukiwanie ciała. Poza sporym pekiem kluczy znaleźli dwie sakiwki wypchane srebrnymi monetami. Muzyk gwizdnął cicho. Za taką kwotę można było uzbroić trzech ludzi w pełne zbroje. Otworzył

— Ale nie masz przy sobie żadnego instrumentu.

Muzyk zapłakał w myślach. Nie przeżył jeszcze pełnych trzydziestu lat. Nikt nawet nie znalazł jego ciała w tym przeklętym lesie.

— Broniłam się, strzelali do mnie z łuku – kontynuowała, przerywając długą chwilę ciszy – czy czyni mnie to złą osobą?

Sulim próbował się opanować. Parę dni temu postanowił iść za nieznaną mu kobietą. Teraz przyszło sprostac konsekwencjom tej decyzji. Zmusił swój umysł do chwili logicznego rozumowania.

— Czy chcesz być złą osobą? – zapytał.

— Nie, raczej prawie na pewno nie.

— To nie jesteś złą osobą, tylko osobą, która popełniła zło. Zło popełniają wszyscy, prawda?

„*Choć niekoniennie mordując od razu dwie osoby*” – dodał w myślach, ale pozostawił to dla siebie. Przyglądał się oświetlonej słabym światłem księżycą postaci, oczekując jej reakcji. Freja niepewnie kiwnęła głową i powoli wstała.

— Wróćmy do obozu – zaproponowała.

Ruszyli przez las w całkowitej ciszy. Sulim stwierdził, że poszło mu całkiem nie najgorzej. Ciągle żył, a idąca obok kobieta wydawała się trochę pocieszona. Zastanowił się, czy na pewno był to pożądaný efekt. W końcu dotarli do obozowiska. Jeden z mężczyzn siedział przy wygaszonym ognisku i uśmiechał się paskudnie.

— Zaczynaliśmy się już niecierpliwie, tyle was nie było – zawołał drwiącym głosem – denerwuje nas pan, panie muzyk, zabierając tak wszystko dla siebie. Też chcemy się czasem zabawić – zrobił krótką przerwę, przenosząc wzrok na Freję – To jak będzie, podzieli się pan, czy stanie w obronie swojej cudnej towarzyski?

Sulim wyciągnął ukryty w skórzanym płaszczu nóż i chwycił go, przyjmując pozycję gotową do walki.

— Nieprawdłowa odpowiedź, panie muzyk – powiedział głos zza jego pleców.

Uderzona w głowę postać Sulima bezwładnie osunęła się na ziemię.

* * *

Ciało samo się obróciło, ręka sama chwyciła rękę. Wystarczyło wydać polecenie. Poczuli, jak na jej twarz padają gorące krople krwi. Zmienila chwyt i nie przerywając obrotu, wypuściła ostrze przed siebie. W cichym lesie rozbrzmiał odgłos dwóch ciał, równocześnie uderzających o ziemię.

* * *

Sulim ocknął się z pulsującym bólem głowy. Nie musiał nawet dotykać głowy, by poczuć na niej wielkiego guza. Powoli usiadł. Było już jasno. Rozglądał się po okolicy, zastanawiając się, ile był nieprzytomny. Przed nim leżała pokryta zakrzepłą krwią Freja, wpatrująca się tępo w niebo. Oczy miała podkrążone po nieprzespanej nocy. Biała suknia straszła teraz czerwienią. Kawalek dalej zobaczył mężczyznę ze sterczącym z krtani sztykietem. Sulim powoli obrócił głowę i za sobą znalazł drugie ciało. Leżało w kałuży krwi z rozciętym gardłem. Zemdliło go. Wstał i oparł się plecami o drzewo. Nigdy w życiu nie oglądał takich scen, był muzykiem, nie żołnierzem. Najbrutalniejsze zdarzenia, jakie dotąd oglądał to walki w karczmach, a one kończyły się co najwyżej połamanymi nosami. Skierował wzrok na kobietę. Pierwszy

— Wiesz gdzie mieszka kupiec Abner? – zapytał ją spokojnie i gdy ta kiwnęła głową, kontynuował – zaprowadź do niego Leokadię i wytłumaczycie mu sytuację. Będę czekał przy wschodnim wyjściu z miasta. Teraz muszę spakować jeszcze parę rzeczy.

Liwia podeszła do ciągle sparalizowanej ze strachu dziewczyny i pociągnęła ją za rękę. Lekarz zostawił kobiety na zewnątrz i sprężystym krokiem wszedł do swojego gabinetu. Z najwyższej szafy ściągnął swoją starą torbę podróżną i zaczął ją pakować. Wrzucił do środka kilka noży, mieczek z piętędźmi, krzesiwo z hubką, mały blaszany garnek, dwa koce oraz trochę jedzenia, które nadawało się do zabrania. Przechodząc wokół gabinetu, skompletował zestaw najczęściej używanych ziół i medykamentów i wypełnił nimi wolne miejsce. Zarzucił wypełniony bagaż na plecy i wkroczył do sypialni. Nie mógł zostawić wiedzy na łasce inkwizycji. Owinął ją białym prześcieradłem, po czym uniósł na rękach. Na szczęście nie ważyła zbyt wiele. Wyszedł z domu i ruszył w stronę wschodniej bramy miasta. Uśmiechnął się pod nosem. Miał już serdecznie dosyć łatania oprychów. Nareszcie szykowała się jakaś zmiana.

* * *

Abner otworzył drzwi i spojrzał na dwie dyszące kobiety pod jego progiem. Jedna, znacznie młodsza od drugiej wydawała się mu być znajoma.

— Tak? – zapytał, przypatrując się im.

— Panie Abner, to jest Leokadia, ona panu wszystko powie, ja muszę iść, zanim ktokolwiek mnie pozna – Liwia wyrzuciła z siebie słowa na bezdechu, po czym szybkim krokiem odeszła.

Starszy kupiec zamrugał oczyma, starając zrozumieć, co się dzieje. Zamyślił się, spoglądając na pozostawioną pod jego drzwiami krótkowłosą dziewczynę. Leokadia... Leokadia...

— Panie Abner – zaczęła drżącym głosem.

Ach, ta Leokadia! Poznał ją dopiero po głosie.

— Inkwizycja prawdopodobnie w tej chwili wchodzi do domu Mordekaia – kontynuowała – sam Mordekaia czeka na mnie przy wschodniej bramie miasta.

— Czekaj, CO? – zapytał tępo Abner.

Dopiero teraz zorientował się, że dziewczyna była całkowicie przerażona i z trudem wydobywała z siebie głos.

— Wejź do środka – powiedział, kładąc jej rękę na ramieniu – coś wynysłimy.

* * *

Szprota podbiegł do Mauricio i stanął wyprostowany.

— Melduje, że dom jest pusty – powiedział, szybko wyrzucając z siebie słowa – w środku panuje straszny nieporządek. Sądzę, że ktoś ostrzegł podejrzanych i pakowali się w pośpiechu.

Wielki Inkwizytor przewrócił oczyma. Nic ostatnio nie chciało być proste.

— No to go goncie, chyba od tego jesteście – powiedział kwaśno – ucieczka tylko dowodzi winy.

* * *

Ludzie coraz dziwniej się na niego patrzyli. Nie można było im się dziwić, od kilkunastu minut stał w miejscu obok opartego o mur ciałopodobnego przedmiotu. W końcu zdarzyło się nienaukowe i podszedł do niego jeden z pilnujących bram strażników. Spojrzył Mordakaiowi w oczy i wskazał palcem na owiniętą w białe prześcieradło Freję.

— Co to jest? – zapytał krótko.

Lekarz wyprostował się leniwie, powoli przenosząc spojrzenie na znacznie niższego od siebie mężczyznę.

— Nie podchodziłbym bliżej – powiedział, uśmiechając się – ta osoba zmarła na wyjątkowo paskudną chorobę.

Strażnik wykonał gwałtowny krok do tyłu, krzywiąc się przy tym wymownie.

— To dlaczego tu stoicie? – krzyknął – zabierzcie to coś stąd, zanim kogoś zarazi!

— Spokojnie, czekam tu na transport, by wywieźć to truchło z dala od miasta – odpowiedział spokojnym i opanowanym głosem – jest to konieczne, by zaraza się nie rozprzestrzeniła.

Strażnik ponownie przyglądał się lekarzowi. Po chwili odszedł i szybkim krokiem powrócił na swoje stanowisko. Mordakai ponownie oparł się o mur i z oddali obserwował, jak mężczyzna opowiada o odbytej rozmowie swoim kolegom. Najwyraźniej mu uwiertyli, co lekarza lekko rozbrajało. Zaczynał się już jednak niecierpliwić. Nie mógł tu stać wiecznie, a Leokadi ciągle nigdzie nie było widać. W końcu pod bramę podjechał niewielki zaprzęgnięty w jednego guńdego konia wóz. Lejce trzymała namiętna postać starannie zakryta szarym płaszczem. Spojrzył na krótkie brązowe włosy i westchnął cicho. Każdą była jej w długich blond. Ostrożnie schylił się i uniósł do góry owiniętą w prześcieradło Freję. Po przytarganiu jej tu spod domu bolały go wszystkie mięśnie. Podeszedł do wozu i z ulgą ułożył na nim ładunek. Usiadł obok Leokadi i dał jej znak, by ruszyła do przodu. Strażnicy bez słowa przepuścili ich i wóz spokojnie wyjechał z miasta.

— I co teraz? – zapytała Leokadia, gdy odjechali od bram na bezpieczną odległość.

Lekarz nie odpowiadając, przeszedł na tył wozu i zaczął odwijać Freję z prześcieradła. Zastanawiał się co z nią zrobić. Nie był w stanie zapewnić jej niezbędnej opieki w takich warunkach. Nie chciał jednak teraz o tym wspominać dziewczynie.

— Jak przyspieszymy, to na noc dojedziemy do pierwszego rozdroża – powiedział, patrząc pustym wzrokiem na wiedzącą – jeżeli dobrze pamiętam stoi tam mała gospoda. Zastanowimy się nad tym, jak tam dojedziemy.

„I prawdopodobnie tam zostawimy naszą nieprzytomną przyjaciółkę” – pomyślał. Jej przyszłość nie malowała się w najpiękniejszych kolorach. Czuł, że zawodzi w swojej roli lekarza. Oderwał od niej wzrok i wrócił na swoje miejsce obok Leokadii. Nie było co o tym dalej rozmyślać. Postanowili szybko zmienić temat.

— Umiesz powozić – zapytał?

— Przecież to nie jest takie trudne – odparła.

Na tym zakończyła się rozmowa. Siedzieli obok siebie, jadąc w całkowitej ciszy, oboje pogrążeni w czarnych myślach.

— Nie, żebyśmy byli wścibscy, ale co robi samotna młoda kobieta, sama w nocy, pośrodku nocy. Jest to co najmniej dziwne.

Freja zmyśliła się nad odpowiedzią. Obaj mężczyźni pomownie się rozesmiali, widząc, jak usiłuje coś wymyślić. Jeden przyjaźnie poklepał ją po ramieniu i zachęcił, by zjadła ciepły posiłek. Porozmawiali w wesołej atmosferze, pośmiali się ze Stulma, który nie potrafił wydobyć z siebie żadnego dźwięku, i w końcu udali się na spocznik.

* * *

Ten sam sen. Znowu uciekała, znowu ją gonili. Była już jednak do tego przyzwyczajona. Z obojętnością oglądała swój upadek, cierpliwie znosiła ból. W końcu sen się zakończył i zbudziła się złana potem. Był środek nocy i nie było szans, by szybko z powrotem usnęła. Po ciem wstała i poszła się przebrać. Ze zdziwieniem stwierdziła, że przyłączył się do niej muzyk.

— Powiesz coś w kolicu? – zapytała, gdy oddalili się od obozu na tyle, by nie obudzić pozostałych.

— Twoje pierwsze słowa były szczerą prawdą, prawda? – szepnął cicho.

— *„Usłyszalam muzykę i zobaczyłam ogień”* – zapytała niewinnie – Owszem, nie skłamałam wtedy.

Spojrzał na nią, usiłując stwierdzić czy żartowała.

— Widziałem, jak parę dni temu wnosili cię nieprzytomną do gospody, zaraz po dziewczynie ze sterczącą z pleców strzałą.

Freja stanęła w miejscu. To się nie zgadzało. Mordakai powiedział, że Leokadię postrzelili jeszcze w miejsce i opatrzył ranę przed wyjazdem.

— Co jeszcze o mnie wiesz? – zapytała ostrożnie.

— Ściagała cię straż. W nocy doszło do jakiejś walki. Rano znaleziono dwóch martwych strażników.

Freja zamrugnęła oczyma. Nikt ich przecież nie ścigał. Zakreśliło się jej lekko w głowie. Coś bardzo nie pasowało. Usiadła na kanieciu, próbując się skupić. Jak przez mgłę pamiętała strzałę oraz panującą krzyk. Zamknęła oczy, starając się przywołać niewyraźne wspomnienie. Ujrzała swoją rękę, uniesioną na tle przecinających powietrze ciał strażników. Zemdliło ją.

— Zabiliśmy ich – powiedziała szepcąc, kierując szklisty wzrok na muzyka – ukryli to przede mną, powiedzieli, że pościgu nigdy nie było – głos się jej załamał – a ja zabiliam dwójkę niczemu nie winnych ludzi. Nawet nie wiem, jak powinienam teraz na to zareagować.

Sulim stał chwilę w ciszy, szukając jakichkolwiek słów pasujących do zaistniałej sytuacji. Popatrzył się na kobietę, która niewiadomie zabiła dwie osoby. Zastanowił się, dlaczego jeszcze nie ucieka.

— Byłam przekonana, że śnię. Czy czyni mnie to trochę mniej winną ich śmierci? – zapytała z nadzieją w głosie.

„O tak, oczyniście, samemu zdarza mi się czasem zabić kogoś przez sen” – pomyślał. Jednak siedząca przed nim osoba patrzyła się na niego z autentyczną nadzieją w oczach. Spróbował wydobyć z siebie jakiekolwiek słowa.

— Może coś zagram? – zapytał.

— A to w czymś pomoże?

— Na pewno nie zaszkodzi.

— Dokąd zmierzamy? – zadała w końcu pytanie, którego bała się zadawać od paru dni.

— Do granicy – odparł jej spokojnie lekarz – a później do akademii, w której pobierałem nauki. Może przyjmą mnie jako nauczyciela, a ciebie jako uczennicę. W każdym razie nie mam lepszych pomysłów.

— Wątpię, bym nadawała się na lekarza – odparła po chwili.

— Ale tam nie ucą tylko medycyny. Z tego, co zdołałem się zorientować, to otrzymałaś solidne podstawowe wykształcenie, więc na pewno sobie poradzisz. Co będziesz chciała studiować, to już sama zdecydujesz – spojrzał na nią poważnym wzrokiem – ale najpierw musimy przeżyć długą wędrówkę z małą ilością pieniędzy i zapasów, co wkrótce przestanie być zabawne.

Leokadia kiwnęła głową na znak zrozumienia i ponownie zaległa cisza.

* * *

Sulim siedział przy niewielkim ognisku, grając spokojną melodię. Przyglądał się rozświetlonym ogniem twarzom i westchnął cicho. Trzeci dzień podróżował z tymi ludźmi. Zmierzał do małego przygranicznego miasta, nawet nie pamiętał już w jakim celu. Interesowało go tylko, że zabrali go ze sobą. Dzięki temu mógł poruszać się szybko. Parę długich dni dało mu dużo czasu na przemyślenie swoich decyzji. Ściągał kobietę, którą widział tylko raz, nieprzytomną. Do tego najprawdopodobniej zabiła dwie osoby i ścigała ją inkwizycja. Z której strony, by nie patrzeć nie miało to większego sensu.

— Panie bard, zagraj pan coś weselszego, poplaczemy się tu zaraz – powiedział do niego jeden z mężczyzn – gra pan jakby wczoraj zmarła panu matka.

Sulim kiwnął głową i zmienił melodię. Nie było sensu nad tym dłużej rozmyślać. Przynajmniej miasto, do którego zmierzali, miało całkiem dobrą reputację. Nagle przerwał, widząc czarną sylwetkę przesuającą się między drzewami. Jego towarzysze spojrzeli najpierw na niego, a później na punkt, w który się wpatrywał. Z mroku powoli wyłoniła się kobieta. Ubrana w całkowicie niepasującą do otoczenia prostą białą suknię wyglądała wręcz abstrakcyjnie.

— Usłyszałam muzykę i zobaczyłam ogień, więc stwierdziłam, że zapytam się czy mogę się dołączyć – powiedziała, uśmiechając się.

Sulim zamarł w bezruchu. To była ona. Zabiła ludzi, z którymi podróżowała i teraz żąda krwi przyszła po nich? Odrzucił szybko tę myśl, starając się uspokoić.

— Witamy młodą damę – powiedział jeden z mężczyzn – proszę, siadaj, mamy niesamowicie smaczną zupę. W zamian liczymy na jakąś ciekawą opowieść.

Freja zbliżyła się do ognia i skaczące płomienie rozświetliły jej twarz.

— Jestem zbiegłą z więzienia złodziejka, która zmierza do miasta odzyskać zgubiony hup. Ściga mnie inkwizycja i tak naprawdę jestem kim innym – po chwili zastanowienia dodała – do tego potrafię wpływać na pogodę, ale strasznie mnie to męczy.

Wszyscy poza Sulimem roześmiali się głośno.

— Widzę, że dowcip się pani trzyma. Należy się pani podwójna porcja naszej wiesznym specjalności.

Uśmiechnięta wzięła małą miskę i dziękując, usiadła obok ciagle sparaliżowanego Sulima.

* * *

Liwia podeszła po cichu do szefa kuchni. Stał do niej odwrócony plecami, zajęty krojeniem marchewki.

— I jak, załatwiłaś to, co musiaś tak nagle załatwić? – zapytał z przekąsem.

— Przepraszam – powiedziała cicho – ale to naprawdę była wyjątkowa sytuacja.

Szef odłożył nóż i odwrócił się, by przyglądać się jej twarzy. Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym powrócił do krojenia.

— Wyglądasz jak kupa nieszczęścia. Chyba rzeczywiście sytuacja była wyjątkowa, więc wyjątkowo przymknę na to oko – przerwał, by dać Liwii chwilę na okazanie radości – ale zmywasz po kolacji. Sama.

* * *

— Czekajcie, bo nie wiem, czy dobrze zrozumiałem – powiedział Mauricio, patrząc na strażnika, którego przyprowadził ze sobą Szprota – jakies sześć godzin temu widziałeś niejakiego doktora Mordekaja, jak opuszczał miasto z zawiniętym w prześcieradło ciałem.

— Tak wasza Ekscelencjo – odparł strażnik, zastanawiając się, jak Wielki Inkwizytor mógł nie zrozumieć czegoś tak prostego.

Mauricio przekręcił głowę i spojrzał obłąkanym wzrokiem na Szprote.

— To w takim razie, dlaczego nie wysłaliście jeszcze za nimi pościgu? – zaplakał na skraju załamania nerwowego – Pomijając już, dlaczego w ogóle wypuściliście go z miasta i dlaczego ustalenie tego faktu zajęło wam sześć godzin.

Strażnik chciał coś powiedzieć, ale Szprota go powstrzymał. Na pewne pytania nie należało udzielać odpowiedzi.

— Osobiście się za nimi udam, wasza Ekscelencjo – odpowiedział i szybkim krokiem odszedł, pociągając za sobą kolekę.

Mauricio stał przez chwilę, zgrzytając zębami. Baronowa ucieszy się, gdy ten diabelski doktor ucieknie z jej córką. Będzie mogła wypominać to inkwizycji latami. Jakby tylko zakon przydzielił mu więcej ludzi, a nie kazał użerać się z piekielną strażą miejską.

* * *

Chłodne krople deszczu rytmicznie uderzały w jej twarz. Zaciśkając zęby, powoli uniosła plecy. Nieużywane od dawna mięśnie natychmiast zaprotestowały. Osłepiona bólem z trudem skupiła wzrok na oświetlonym słabym światłem księżycą otoczeniu. Drzewa rozmywały się jej w oczach. Poruszała się, i to szybko. Wszystko wydawało się jej jakies znajome. Pograżony w ciemności las, deszcz, szaleńczy bieg. Przeżywała to już kiedyś. We śnie? Ujrzała trzy postacie na koniach. Zbliżały się do niej, jedna trzymała w ręce naciągnięty luk. Zamknęła oczy, nie chciała, by ją dogoniły. Nagle obok jej ucha rozległ się głośny świst i następujący po nim przesywający okrzyk bólu. Przerazona otworzyła oczy i powoli uniosła rękę, zatrzymując ją na wysokości klatki piersiowej. Czas zwolnił, ciągnąc się i przelewając leniwie. Bała się. Rozprostowała palce dłoni i powoli opadające krople wody stanęły w miejscu. W jednej chwili niezliczone ilości elektronów przesunęły się w jedną stronę, zmieniając swoje orbity. Poczynając od chmur, poszczególne cząstki powietrza zaczęły gwałtownie jonizować się, tworząc cienki, zmierzający ku ziemi tunel. Czas ponownie ruszył do

przodu i nocą zawładnął grzmiot uderzającego w ziemię piorunu. W osłepiającym świetle zładziła jeszcze ujrzeć spadające z koni sylwetki. Ręka opadła jej bezwładnie i całe ciało poleciało do tyłu.

* * *

Mordekai nie mógł oderwać wzroku od leżącej nieruchomo sylwetki wiedźmy. Nie wiedział, czego właśnie był świadkiem, ale nie teraz był czas nad tym rozmyślać. Szybko odwrócił głowę w stronę drogi i złapał lejące. Wstrzymał bieg konia, nie było już po co uciekać. Parę minut temu Leokadia pogoniła biednego zwierzaka. Chciał jej wtedy powiedzieć, że uciekanie wozem nie mało najmniejszego sensu, ale nie miał serca tego zrobić. Teraz dziewczyna leżała ze strzałą w plecach, marnocząc jakieś niezrozumiałe słowa. Wyjętył wzrok i spróbował przyrzeć się ranie. Nie wyglądała na śmiertelną. Po chwili zastanowienia ponownie popędził konia. Może nie było po co uciekać, ale w takich warunkach nie mógł jej pomóc. Gospoda, w której mieli się zatrzymać, mogła być za każdym zakretem. Godzinę później ujrzał odległe światło, słabo migoczące pomiędzy drzewami. Podjechał pod niewielki drewniany budynek i ciągle trzymając Leokadię na rękach, zeskokczył na ziemię. Podeszedł do drzwi i zapukał z całej siły. Z wnętrza wydobywała się radosa muzyka wraz z głosnymi, wieczornymi rozmowami. Rozległy się kroki i w przejściu pojawił się starszy mężczyzna. Spojrzał na przemoczoną postać lekarza, nie wiedząc co powiedzieć.

— Zaatakowali nas bandyci i potrzebujemy pomocy – powiedział Mordekai, desperacko starając się zachować spokojny ton głosu.

Gospodarz przekrzywił głowę i przyjrzał się strzale sterczącej z ciała trzymanej na rękach dziewczyny. Wsząca nad drzwiami pochodnia oświetliła ją na tyle do brzo, by mógł ujrzeć kapiącą z rany krew.

— Zapłaciny – kontynuował – wyjeździemy, jak tylko mała będzie zdatna do dalszej podróży.

Mężczyzna westchnął cicho. Oczywiście, że pomoże rannej dziewczynie, nawet gdyby nie zapłacili mu złamanego grosza, przecież nie był potworem.

— Proszę wejść do środka, ja zajmę się koniem – powiedział – o zapłacie pomówimy później.

Mordekai nagle przypomniał sobie o drobnym, dość ważnym, szczególe. Wypadało o nim wspomnieć.

— Na wozie leży jeszcze jedna kobieta. Jest nieprzytomna – po chwili zastanowienia dodał – taką mam w każdym razie nadzieję.

— W sensie, nadzieję, że nieprzytomna, a nie nieżywa, czy nieprzytomna, a nie przytomna? – zapytał gospodarz, stając w połowie drogi do wozu.

— Szczerze? To chyba jedno i drugie – odpowiedział, przypominając sobie oddalających na boki strażników. Ciekawiło go czy którykolwiek z nich przeżył.

— Dobrze, przyniosę ją. Pan niech lepiej zajmie się dziewczyną. Pomoże panu moja żona.

Lekarz szybko wszedł do gospody, zamykając za sobą drzwi. Znalazł się w wypełnionym ludźmi pomieszczeniu. Siedzący w kącie grajek gwałtownie urwał w połowie utwor i po chwili jedynym słyszalnym dźwiękiem było miarowe kapanie z przemoczonych ubrań Mordekai'a. Rozległ się cichy pomruk bólu półprzytomnej Leokadii i z jednego z krzeseł wstała kobieta w wieku zbliżonym do wieku gospodarza.

Freja kiwnęła głową i podniosła ze ściółki nóż. Choć sama nigdy nożami nie rzucała, to jej ciało pamiętało setki godzin treningu. Za dziesiątym razem nóż się wbił, a po dwudziestym wbił się już za każdym razem. Zabawę przerwał im krzyk Mordekai'a.

— Jesteście nad jeziorem!?

— Tak – odpowiedziała głośno Freja – bądź tak miły i rozpal nam ognisko, a następnie nie pokazuj się przez jakieś czas.

— Było sobie trzeba samemu rozpaść – odparł, po czym dodał – zawołam, gdy będzie gotowe.

* * *

Obie odwróciły się i spojrzały na zbliżającą się sylwetkę Mordekai'a. W ręce młot trzymanego za nogi królika.

— Jak, ogrzaliście się? – zapytał.

Zgodnie kiwnęły nogą.

— Twoja pułapka po raz pierwszy coś złapała, czy znalazłeś padlinę i z desperacji będziemy ją jeść? – zapytała Leokadia.

— Takie mądre jestście, to zrobić z niego coś jadalnego. Ja idę nad jeziro – odparł i rzucił im królika przed nogi.

— Sam nie ma pojęcia jak go przyrządzić, prawda? – szepnęła dziewczyna do kiwającej głowę Freji, na tyle głośno by lekarz usłyszał.

— Podobnie jak wy, więc żyćcę powodzenia – rzucił, znikając za drzewami.

Spojrzały na leżące przed nimi zwierzę.

— Pomysł? – zaczęła Freja.

— Nie, ale myślę, że wszyscy złodzieje przyrządzają świetne potrawy z królika.

— To chyba tak nie działa.

— Z rzucaaniem nożem działało – odparła, wzruszając ramionami – wystarczy, że odpowiednio mocno w to uwierzysz.

* * *

Zagasiłi ognisko i skończyli przygotowywać wóz do dalszej jazdy. Freja spojrzała na twarze towarzyszy jej czterodniowej podróży. Westchnęła cicho.

— Dzisiaj was opuszczę – powiedziała krótko – codziennie w nocy męczą mnie kosznary związane z tą przekłętą książką. Muszę się po nią wrócić.

Mordekai kiwnął głową i dał znak ręką Leokadii, by się nie odzywała.

— Odyskałaś na tyle sił, że z czystym sercem mogę cię puścić na tę samobójczą misję – odparł.

Dostała trochę prowiantu po wymianie krótkich słów pożegnania, ruszyła w stronę miasta. Mordekai spojrzał na rozklejoną twarz swojej podobiecznej.

— Przecież bałaś się jej! Była przerażającą wiedzącą ciskającą pioruny z nieba!

— Smutno będzie bez niej – powiedziała – przyzwyczaiłam się do jej obecności.

— Za to teraz istnieje szansa, że jak wreszcie dogoni nas inkwizycja, to nie skończy się to naszą natychmiastową śmiercią.

Usiedli na wozie i jechali chwilę w całkowitej ciszy.

— Datam jej swój nóż – powiedziała w końcu Leokadia.

— To miło z twojej strony. Teraz gdy zgubię swój, pozostaniemy bez ani jednej ostrej krawędzi.

Rozdział IV

— Założony na chwilę, że byłam złodziejką – powiedziała Freja, myjąc włosy w zimnej wodzie – co powinienam teoretycznie umieć?

Leokadia zastanowiła się chwilę.

— Skradać się? Nie, to za banalne. To może otwierać wytrychem zamki.

Freja wynurzyła się z jeziora i wyszła na brzeg. Usiadła na kamieniu obok dziewczyny, kierując twarz w stronę porannego słońca.

— Mam jakiś wytrych? – zapytała.

— Raczej nie.

— A zamek?

— Też raczej nie. Co gorsza, nie mam czym się wytrzeć, a jest mi zimno.

— Dobrze, co jeszcze potrafią złodzieje poza skradaniem się i otwieraniem zamków – kontynuowała Freja.

— Bo ja wiem? Rzucać nożami?

— Rzucać nożami? Dlaczego złodzieje mieliby rzucać nożami? I masz rację, brak ręcznika boli – odpowiedziała, zaczynając się lekko trząść.

— Nie wiem, nigdy nic nie kradłam. Poza tym nóż mamy, leży obok moich ubrań, spróbuj sobie porzucić, to może zapomnisz, że jest zimno.

Pomysł wydał się rozsądny. Sięgnęła za siebie i uniosła niewielki metalowy nóż. Ręka chętnie go złapała i trzymała pewnie.

— W międzyczasie może spróbujesz rozpaść ogniisko? – powiedziała, przyglądając się ostrzu.

— Cała mokra? Na pewno mi się uda. Było trzeba o tym pomyśleć, zanim mnie tu wyciągnęłaś.

— Mordekali! – krzyknęła Freja, najgłośniej jak potrafiła.

— Śpi jeszcze, nie obudzisz go, choćbyś zdarta sobie gardło. Lepiej rzucaj tym nożem, ciekawa jestem, jak ci pójdzie.

Freja wyprostowała się i spoglądając w las, wybrała cel. Wykonując lekki zamach, ręka praktycznie sama wykonała wyuczony ruch i postąpiła przed siebie nóż. Ten z głuchym trzaskiem odbił się od jednego z drzew.

— Wyglądało to znacznie lepiej, niż się skończyło – stwierdziła Leokadia – w które drzewo celowałaś?

— Nie to, w które trafiłam.

— Na pewno nie był to twój pierwszy rzut w życiu. Wykonałaś go zaskakująco płynnie. Spróbuj jeszcze parę razy, może sobie coś przypomnisz.

— Proszę za mną – powiedziała, kierując się do drzwi po drugiej stronie pomieszczenia.

* * *

Sulim ostrożnie poruszył palcami po strunach lutni. Pojedyncze nuty rozbrzmiały ciepło w niewielkim pomieszczeniu, przerywając ciągnącą się już od dłuższego czasu ciszę. Otaczający go ludzie, słysząc ponownie rozpoczętą melodię, powrócili do nieoczekiwane przerwanym rozmów. W końcu w ruch poszły karty i kufle, przywracając atmosferę do jej pierwotnej, wesołej, formy. Po paru minutach muzyk skończył grać i odchylił do tyłu głowę. Miał nadzieję, że nagrał się już wystarczająco dzisiejszego wieczoru, by opłacić swój pobyt. Do gospody przybył ze cztery godziny temu i był zmęczony całodzienną podróżą. Postanowił udać się na spoczynek, gdy ponownie otworzyły się drzwi. Z deszczowej nocy do środka wkroczyła przemoczona postać gospodarza. Jednak to nie na niej skupił się wzrok Sulima, tylko na niesionej przez niego kobiecie. Wpatrując się w nią, muzyk nie mógł złapać oddechu. Wychudzona i blada na twarzy nie wyglądała specjalnie atrakcyjnie, ale było w niej coś nietypowego, coś wyróżniało ją od reszty świata.

— Niech ktoś mi pomoże – krzyknął gospodarz, ciągle stojąc w drzwiach – plecy mnie bolą i nie dam rady dalej jej nieść.

Sulim chciał zerwać się z miejsca i pośpieszyć z pomocą, ale z zaskoczeniem odkrył, że nie mógł się poruszyć. Siedząc sparalizowany, patrzył jak jeden z gości, drobny kupiec zmierzający do miasta, wstaje i zabiera nieprzytomną kobietę z rąk gospodarza. Dwaj mężczyźni, po krótkiej rozmowie, oddali się, zabierając Sulimowi z oczu obiekt jego fascynacji. Muzyk jeszcze przez długi czas siedział nieruchomo, ciągle wpatrując się przed siebie. Ocuła go dopiero gospodyni, szturchając go lekko w ramię.

— Panie muzyk, wszystko w porządku? – zapytała zaniepokojona, patrząc w jego nieobecne oczy.

Sulim rozglądał się po pomieszczeniu i z przerażeniem stwierdził, że nikogo już w nim nie było.

— Nie wiem – odparł cicho.

Podniósł z podłogi lutnię, którą najwyraźniej udało mu się w którymś momencie upuścić, i chwiejnym krokiem udał się do swojego pokoju.

* * *

Ocknął się zwrócony twarzą w stronę nocnego nieba. Spojrzał w rozmazane przez deszcz gwiazdy i usiłował przypomnieć sobie, co się stało oraz kim właściwie był. Czuł zimne krople deszczu na całym ciele, lecz nie słyszał ich. W jego głowie rozbrzmiewało jedynie miarowe dzwonięcie. Podniósł z ziemi rękę i badawczo obmacał swoje ciało, sprawdzając, czy niczego nie brakuje. Ostrożnie poruszył nogami i w końcu zdecydował się podnieść. Krzywiąc się, spojrzał wokół siebie i gwałtownie zakreśliło mu się w głowie. Utrzymał jednak równowagę i po chwili powrócił do niego zdarzenia sprzed paru godzin. Wraz z dwoma kolegami ścigał jakiegoś lekarza. Oddali strzał, jego zdaniem całkowicie niepotrzebny, przecież mieli konie i bez problemu zatrzymaliby uciekający wóz. Właśnie, mieli konie, co się z nimi stało? Wykonał krok do przodu i potknął o się o coś, upadając twarzą w błoto. W ten sposób znalazł swojego konia, leżącego na ziemi, całkowicie nieżywego. Podniósł się

z powrotem na nogi i ostrożnie ruszył przeszukać okolicę. Całkiem szybko znalazł drugie zwierze i przygniecionego nim kolegę.

— Hej, żyjesz? – powiedział, szturchając go w ramię i z przerażeniem stwierdził, że nie słyszy własnego głosu. Co gorsze przygniecione ciało nie oddychało.

Drugiego strażnika znalazł leżącego pod drzewem, równie martwego. Szprota zaklął siarczysto, bezskutecznie starając się przekrzyknąć wszechobecne dzwonienie. Strąnął na środku drogi i zastanowił się co zrobić. Parę godzin dociągnął stąd była mała gospoda, w której mógł poprosić o pomoc, był jednak zbyt zmęczony, by się gdziekolwiek udać. Pozostało poczekać do rana, aż ktoś będzie przejeżdżał obok. W takim deszczu nie było mowy o rozpalaniu ogniska. Usiadł więc pod największym drzewem w zasięgu wzroku i zaczął oczekiwać końca ulewy, błądź wschodu słońca, cokolwiek nadejdzie pierwsze. Ucieszył się, że miał na sobie ciepły skórzany pancerz. Przed wyjazdem nigdzie nie mógł znaleźć swojej koczni. To proste zarządzenie losu uratowało mu tę noc życia.

* * *

Biegła co sił, słysząc za sobą krzyki ścigających ją ludzi. Musiała uciekać, nie mogła dać się złapać. Zaciśnięła zęby, starając się nie zwracać uwagi na krew kapiącą z rany na prawej ręce. Wymijanie rozmażanych w deszczu przeszkód stawiało się coraz trudniejsze. Nie narzekała jednak, noc zapewniała jej w gestym lesie namiastkę schronienia. Nagle przypomniała sobie, że kiedyś już przeżywała te zdarzenia. Tak w ogóle to, kim była? Co robiła? Dlaczego uciekała? Jej wzrok na chwilę padł na lewą rękę. Zorientowała się, że kurczowo ścisła w niej małą książkę. Tę książkę też skądś знаła. Dostała ją od kogoś... w przyszłości? Nie, jak mogła wiedzieć o czymś, co się jeszcze nie wydarzyło? Nagle czas spowolnił. Przypomniała sobie dalszą część tej nocy i nie chciała jej powtarzać. „*Uskocz w bok, uskocz w bok!*” powtarzała w myślach, lecz mogła jedynie patrzeć, jak jej ciało leniwie wygina się, trafione od tyłu pojedynczą strzałą. Zapłakała, w duszy ponownie czując rozpraszającą się falę bólu. Trzymana książka wyleciała z ręki i zaczęła powoli poruszać się do przodu, przecinając zawieszony w powietrzu krople deszczu i krwi. Z jej oczu popłynęły łzy. Dlaczego musiała ponownie to przeżywać? W końcu zakochała się, przeciągając się w nieskończoność upadek, uderzając w ziemię. Skrawkiem świadomości zdążyła jeszcze zarejestrować cichy dźwięk wpadającej do kałuży książki.

* * *

Otworzyła oczy, lecz szybko je zamknęła, oślepiona nieogłębionym od dawna słonecznym światłem. Zaczekała chwilę, aż w pełni odzyska świadomość i ponownie je otworzyła. Nie wątpiła, że mała nad sobą otwarte niebo. Spróbowała przypomnieć sobie ostatnie zdarzenie, jakie pamiętała. Ostatnio dużo śniła, trudno było ustalić granicę pomiędzy snem a rzeczywistością. Na pewno uciekała z więzienia. Spotkała się z jakimś człowiekiem, który miał jej pomóc i posłała za nim. Dalej wszystko się uwyślało. Ostrożnie poruszyła wstykającymi kończynami. Nie usłyszała hańcuchów ani nie poczuła oporu. Nie była więc przykutą ani uwięzioną. Spróbowała usiąść. W połowie ruchu mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa i z hukem poleciała do tyłu. Nagle poczuła się straszliwie słaba. Dlaczego nie mogła nawet wstać? Po chwili zawisła nad nią dwie głowy. Pierwsza należała do mężczyzny, straszliwie chudego na twarzy. Wyglądała... otygnalnie. Druga należała do młodej dziewczyny. Biała na twarzy wyglądała, jakby

Młotający inkwizytorem gniew momentalnie ustąpił miejsca zamysleniu. Mauricio zagłębił się w fotelu i milczać, spojrzawszy przed siebie.

— W co trafiła strzała? – zapytał krótko.

— Trudno powiedzieć, wasza Eminencjo, było ciemno.

— Jeszcze raz opowiedz mi wszystko, najdokładniej jak potrafisz. Każdy, nawet najmniejszy szczegół, jaki pamiętasz. Usiądź, ledwo trzymasz się na nogach.

Szprota, równie zadowolony, jak i zaskoczony, sięgnął po stojące pod ścianą krzesło i powoli zaczął mówić. Mauricio słuchał w ciszy, czasem zadając krótkie pytania. Gdy Szprota skończył, inkwizytor wyglądał na jeszcze bardziej zamyślnego.

— Młodszy sierzanie, jesteście wolni – powiedział w końcu – idź się porządnie wyspać, jutro z rana wyruszamy w pościg.

Szprota mrugnął dwa razy.

— Przepraszam waszą Ekscelencję, ale wyruszamy? To znaczy kto?

— Ja, ty i dwóch wybranych przez ciebie strażników – widząc na sobie zszokowany wzrok, dodał – tak umiem jeździć konno i nie, nie żartuję. Cieszcie się, że przy następnym spotkaniu z czarownicą będziecie mieli przy sobie doświadczonego inkwizytora. Przyjdźcie jeszcze do mnie wieczorem, ustalimy szczegóły. Teraz wam, mnszę pomyśleć.

— Tak jest wasza Ekscelencjo – odparł Szybko i pośpiesznie opuścił gabinet.

Mauricio zaklął cicho. Magia, czary, czarownice, wiedźmy. Takie rzeczy nie istnieją, pomyślał. Jednak coś zabiło dwóch strażników i to coś niebezpiecznie przypomniało magię. Wiedział, że nie zazna spokoju, póki nie dowie się, co to było.

— Pomijając tę oczywistą część z byciem wiedźmą? Wydaje mi się, że coś ukradłam, i to coś było książką. Nie wiecie nic o żadnej książce?

Nagle przypomniała sobie sierzanta straży. Dał jej coś. Zamysliła się, chwilę siedząc w ciszy. Mordekai spojrział pytająco na Leokadię, lecz ta pokręciła tylko głową.

— Niestety nie wiemy ani kim jesteś, ani nic nie słyszeliśmy o żadnej książce.

— A co się stało z mundurem straży, w którym uciekałam? – zapytała, przypominając sobie, jak chowa mały czerwony przedmiot w ubraniu.

— Nawet nie wiemy, że uciekałaś w mundurze straży. Spróbuj opowiedzieć nam wszystko, co pamiętasz, to może uda się coś ustalić – zaproponowała Leokadia.

Freja zwięźle przedstawiała im wydarzenia tamtej nocy. Powiedziała im o braciach, ucieczce oraz o spotkaniu z sierżantem.

— W takim razie książka została w domu Abnera – stwierdził Mordekai po odsluchaniu całości. Za nim Freja zdążyła cokolwiek powiedzieć, dodał – nikt ci nie będzie bronił udania się na samobójczą misję odzyskania jej, ale wyczekaj przynajmniej, aż odzyskasz siły. Książka spoczywa gdzieś na półce starego kupca i nigdzie stamtąd się nie ruszy. Obecnie nie zrobisz dwóch kroków bez przewrócenia się.

Freja spojrzała na surowy wyraz twarzy lekarza.

— Naprawdę tylko dwie kromki? Może trzecia nie zabije? – zapytała.

Mordekaiowi chwilę zajęło powtórzenie pytania z wątkiem sprzed ponad godziny. Bez słowa odkroił jej trzecią kromkę chleba. Popatrzył się na niezwykle groźną wiedźnę, ciesząc się z kromki chleba bardziej, niż on cieszył się z czegokolwiek w życiu. Jak na razie podroź wydawała się przebiegać bez większych komplikacji.

* * *

Szprota spojrział na wylaniające się zza drzew mury miasta. Minęły dwa dni od pościgu, na który go wysłano. Wracał sam, z wieściami o śmierci kolegów oraz po niesieniu całkowitej porażki. Przyszłość nie malowała się więc w najjaśniejszych kolorach. Przybity obserwował jak wóz, na którym jechał, przekracza bramę. Ze-skoczył i podziękował krótko człowiekowi, który zaofiarował się zabrać go z sobą spod gospody. Po głębokim westchnięciu ruszył przez miasto, kierując się w stronę gabinetu Królewskiego Inkwizytora.

* * *

Siedzący na swoim fotelu Mauricio spojrział przenikliwie na Szprote. Strażnik milczał.

— Młodszy sierżant chce mi coś powiedzieć? – zaplat miętko – na przykład zameldować co się stało podczas takiego jednego pościgu, w który posłałem go dwa dni temu – dokończył krzykiem.

— Wasza Ekscelencjo – zaczął opanowanym tonem – zginęło dwóch moich do-brych kolegów, sam ledwo uszedłem z życiem. Podczas pościgu zostaliśnys zaatakowa-ni poprzez wiedźnę. Postugując się czarami, zesłała w nas piorun z nieba. Straci-łem konia i odniosłem parę lżejszych ran. Przed powrotem musiałem odczekać dzień w pobliskiej gospodzie. Wiedźma wraz z towarzyszącym jej mężczyzną oraz kobietą uciekli, choć kobieta została postrzelona. Wydaje mi się, że atak był odpowiedzią na oddany przez nas strzał.

nigdy nie wychodziła na słońce. Miała paskudnie krótko obcięte włosy. Freja poczu-ła na sobie ich badawcze spojrzenia. Wygłądali na trochę zaniepokojonych, trochę przestraszonych i trochę szczęśliwych. Kiedyś chyba już ich widziała. We śnie? Nie, to przecież niemożliwe.

— Dzień dobry – powiedziała spokojnie – gdzie jestem? – odczekała chwilę, po czym dodała – kim jesteście?

Dwie głowy obróciły się i spojrzały na siebie. W końcu mężczyzna pomógł jej usiąść. Freja rozejrzała się po okolicy. Odkryła, że jechała na wozie. Chciała o coś za-pytać, gdy jej wzrok padł na przykucniętą sylwetkę dziewczyny. Spod luźno zapiętej skórzanej kurtki wystawał biały bandaż. Starannie owijał okolice jej lewego ramie-nia. Miejscami był lekko zaczerwieniony. W umyśle Frei rozbrzmiał głosny krzyk, który najwyraźniej kiedyś słyszała. Zakreśliło się jej lekko w głowie.

— Co ci się stało? – zapytała, sama nie wiedząc czemu.

Dwie postacie ponownie na siebie spojrzały.

— Jaka jest ostatnia rzecz, jaką pamiętasz? – zapytał po dłuższej chwili ciszy Mordekai.

— Uciekałam z więzienia. Jakiś mężczyzna przeprowadził mnie przez miasto. Dalej wszystko jest czarne.

— W takim razie od tamtego czasu minął już ponad tydzień. Byłaś nieprzytom-na.

No cóż, pomyślała, najwyraźniej podirzynywanie deszczu przez tak długi czas było wyjątkowo głupim pomysłem. Jej ciało w końcu nie wytrzymało.

— Może będzie to wyjątkowo niegrzeczne w aktualnej sytuacji – zaczęła – ale właśnie zorientowałam się, że jestem prerażniewie głodna.

Lekarz kiwnął głową na znak zrozumienia. Złapał leżącą na wozie sakwę i wyjął ze środka bułtąk z wodą oraz bochenek chleba. Nożem odkroił od niego dwie kromki.

— Będziesz w stanie sama zjeść? – zapytał, przyglądając się jej badawczo.

Freja dla próby poruszyła obolałymi palcami i kiwnęła głową.

— Wodę wypij całą, ale najważne jak bardzo jesteś głodna, nie jedz więcej niż te dwie kromki. Zjedz je powoli, bardzo powoli, dokładnie przeżuając. Jak skończysz, spróbuj rozruszać wszystkie mięśnie. Nie śpiesz się za bardzo i na pewno nie próbuj jeszcze wstawać. Zrozumiałaś?

— Zrozumiałam – odpowiedziała Freja, z wdzięcznością odbierając z rąk Mor-dekaia pożywienie.

Lekarz usiadł obok Leokadii, która już od jakiegoś czasu trzymała lejce. Oboje mieli niekreślony wyraz twarzy.

— Nic jej nie powiem – zapytała szeptem?

— Wygląda na to, że nie pamięta wydarzeń tej nocy. Przebudziła się wtedy tylko na parę sekund, mogła nie być w pełni świadoma.

— Nie powinniśmy jej jednak o tym opowiedzieć? Widziałeś, jak się popatrzyła na moją ranę? Coś musi jednak pamiętać.

— Może masz rację, ale nie wiem, czy mówienie osobie, która po tygodniu odzy-skała świadomość, że parę godzin temu za biła trójkę ludzi, jest dobrym pomysłem. Trudno przewidzieć jak zareaguje.

Dziewczyna przypomniała sobie spadający z nieba piorun. Co prawda widziała go przez mgłę bólu, ale ten obraz wyjątkowo dokładnie utkwił jej w pamięci.

— Myślisz, że ci ludzie zginęli? – zapytała.

Lekarz ponuro kiwnął głową.

— Dzięki temu możemy nadal uciekać. Cokolwiek wtedy zrobiła, świadomie czy nie, uratowała nam tym życie – powiedział cicho – pozostaje nam tylko być jej wdzięcznym.

Jechali chwilę w ciszy, patrząc na ubitą setkami lat użytkowania drogę.

— Boję się jej – szepnęła w końcu Leokadia, najciszej jak potrafiła.

— Każdy by się bał – nie najmniejszej pocieszył ją Mordakai.

— Nie wydaje mi się, żeby doktor się jej bał – powiedziała, patrząc na niego.

— Czemu miałbym się bać? Przed chwilą odbyłem z nią miłą rozmowę i wydała się wyjątkowo spokojną i dobrze wychowaną kobietą – zmienił ton na bardziej poważny – poza tym wyobraź sobie, że jesteś potrzebna i bezduszną wiedzącą, ciskającą gromy z nieba. Co byś zrobiła, gdyby wbrew twojej woli zamknęli cię w więzieniu? Miał rację, co nie zmieniało faktu, że nadal bała się siedzącej z tyłu kobiety. Ponownie przypominała sobie rozświetlone sylwetki strażników i zadziwała. Włóć wędziny naprawdę istniały. Nigdy nie wierzyła w magię.

— Przepraszam, że wam przerywam rozmowę – wtrąciła nagle Freja – ale skończymy już, po czym posłusznie rozruszałam wszystkie obolałe mięśnie. Mam parę pytań.

Leokadia z Mordekaiem odwrócili głowy i spojrzeli na siedzącą już o własnych siłach kobietę. Słaba i wychudzona postać nie wyglądała, jakby miała władać potężną magią.

— Mogłobyście mi opowiedzieć, co się wydarzyło przez ostatni tydzień? – zapytała z nadzieją.

* * *

— Panie muzyk! – słowa poprzedzone lekkim szturchnięciem wyrywały Sulima ze snu. Otworzył oczy i uniósł się na łóżku. Obok niego stała gospodyni – jeżeli dobrze pamiętam, to wczoraj pan mówił, że chce pan z samego rano wyruszyć do miasta – kontynuowała spokojnie – nie chciałam pana wcześniej budzić, jako że wieczorem nie najlepiej pan wyglądał. Jest już grubo po południu.

Sulim ośpale przetarł ręką oczy, budząc się ze snu. Wczoraj wydarzyło się coś ważnego, ale co? No tak, zobaczył tę kobietę i z jakiegoś powodu nie mógł od niej oderwać wzroku.

— Dziękuję – powiedział – dostałbym jakiegoś późne śniadanie? – dodał.

Starsza kobieta uśmiechnęła się serdecznie.

— Oczywiście, zaraz coś dla pana przysgotuję.

Po tych słowach wyszła z małej sypialni, zamykając za sobą drzwi. Sulim szybko spakował małą sakwę podróżną i zszedł z piętra. O tej porze w gospodzie było całkowicie pusto. Usiadł przy jednym ze stołów i po chwili gospodyni położyła przed nim miszkę z kaszą oraz kufel piwa. Sulim westchnął cicho. Nie było to śniadaniem marzeń.

— Uda się pan teraz do miasta? – zapytała, siadając na krześle obok.

Najwyraźniej nudziło się jej. Wziął parę kęsów kaszy. W sumie to miał teraz okazję dowiedzieć się czegoś o kobiecie z wczorajszej nocy.

— Tak miałem w planach. Chciałem zarobić, grając w tamtejszych karczmach. W miastach zawsze dobrze placą – oczekiwał chwilę i starając się utrzymać obojętny ton, zapytał – co to za ludzie wczoraj byli tutaj w nocy? Dwie kobiety i mężczyzna, jeżeli dobrze pamiętam.

— Ciekawa to historia, muszę przyznać – powiedziała, drapiąc się po głowie – mężczyzna twierdził, że jest lekarzem. Patrząc, jak umięśnione opatrzył raną dzięczynę, to raczej nie kłamał. Natomiast ta druga kobieta pozostała nieprzytomna do samego końca.

— Co się z nimi stało? – zapytał pomiędzy kolejnymi ruchami łyżki, stając się nie zatrudzić swojego zainteresowania tematem.

— Bez słowa odjechali o białym świcie. Zaplacił jednak za pobyt ze sporą nadwyżką i poprosił, by sprzedać im trochę jedzenia.

— A w którą stronę się udali?

Gospodyni spojrzała spod łba na Sulima. To już nie zabrzmiało jak zadane w celu podtrzymania rozmowy pytanie.

— Planowałeś się udać do miasta, tak? Rozumiem, że plany te mogą ulec zmianie w zależności od mojej odpowiedzi?

Muzyk nieśmiało kiwnął głową.

— Ach, wy młodzi. Starsza czy ta młodsza? – zapytała, łagodząc trochę swoje przemilcze spojrzenie.

— Starsza – odpowiedział krótko.

— Południowy wschód w stronę granicy. Mają wóz, więc masz słabe szanse ich dogonić. Zresztą co ja sobie język strzępię, no i tak spróbujesz.

— Dziękuję.

Sulim szybko dokończył posiłek i zarzucił na plecy sakwę. W stronę granicy zawsze jeździł jakiś kupiec, na pewno ktoś będzie przejeżdżał obok i zabierze go ze sobą. Ludzie najczęściej chętnie pomagali muzykom. Nawet bandyci byli często przyjaźnie nastawieni. Zabierali tylko połowę złota i dawali nawet prowiant na dalszą drogę.

— Uciekali strażnicy miejskiej – rzuciła gospodyni, gdy Sulim stał już w drzwiach – straż w tym mieście jest pod ścisłą kontrolą inkwizycji, więc równie dobrze można powiedzieć, że ścigali ich zakon. Dwie godziny temu znaleziono strażników, co ich rzekomo ścigali. Dwóch nie żyje, trzeciego przywiezionego tutaj nieprzytomnego. Nikt nie wie co i jak ich zakałowało.

— Postaram się nie zginać – odpowiedział Sulim, jeszcze raz dziękując.

— Prawidłowa odpowiedź młodzieńcze – krzyknęła, śmiejąc się, zanim zdążył zamknąć drzwi.

Spojrzał na słońce i bezceremonialnie ruszył przed siebie, kierując się na południowy wschód.

* * *

Opowiedzieli jej wszystko, łącznie z całą sytuacją, w której znalazła się Leokadia, lekko tylko zmieniając wydarzenia poprzedniego dnia. Straż nigdy ich nie dogoniła, a dziewczynę postrzelono jeszcze w mieście. Freja spokojnie wysłuchiwała całej opowieści i zamyśliła się, próbując połączyć ją razem ze swoimi snami.

— Wiecie, kim jestem – zapytała z nadzieją.

Odpowiedź znacznie by wszystko ułatwiła.

— A powinienem? – odparł ostrożnie lekarz.

— Bo widzicie, problem jest taki, że ja nie wiem, kim jestem. Moje wspomnienia zaczynają się od obudzenia się w celi. Imię nadali mi strażnicy.

— Wiesz, chociaż czemu cię zamknęli?